Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

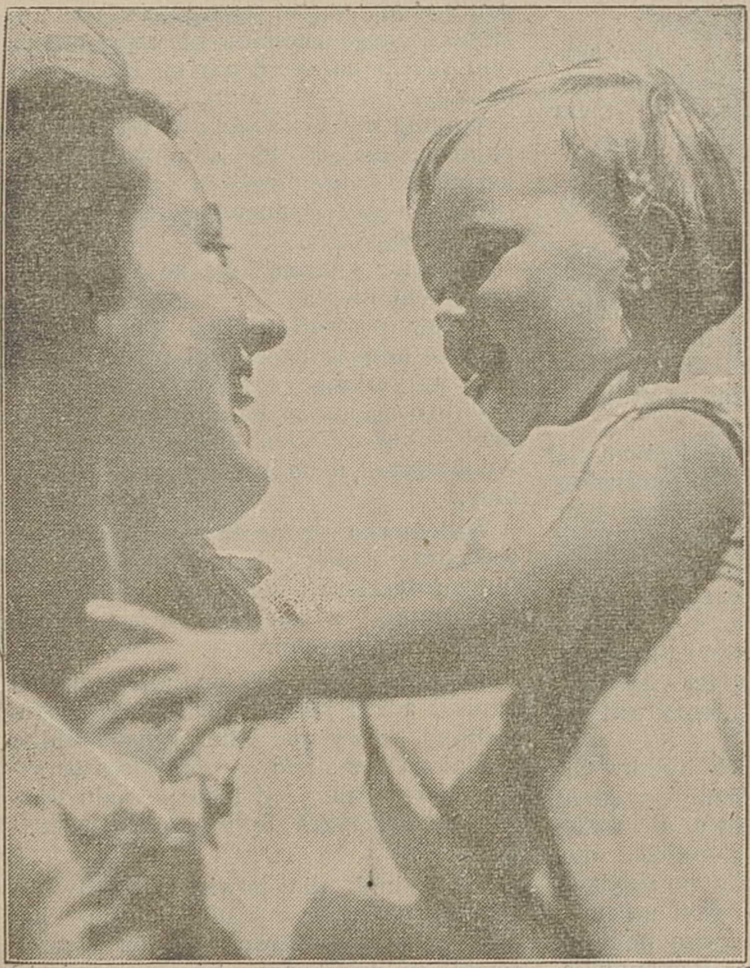
1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 30 maja 1937 r. Nr. 22

Nie wiesz, jak kocha ciebie mama...



Z okazji „Dnia Matki".

Dziecinko moja ukochana,
Największy skarbie naszej strzechy —
Nie wiesz, jak kocha ciebie mama
Za śpiewy, za słodkie uśmiechy...

Jesteś jeszcze małą kruszyną,
Nie wiele więc zrozumieć umiesz,
Lecz — gdy dziecięce lata miną,
Dobrze miłość matki zrozumiesz...

Ja bym za ciebie życie dała —
Tyś największe me ukochanie!
Byś zawsze pogodnie się śmiała,
Czynić będę wszelkie starania.

Czułą opieką zawsze będę
Otaczać wszystkie kroki twoje,
Cudną sukienkę ci uprzędę,
By piękne było dziecię moje!

Popieszczę cię i ucałuję —
Zabawię się z moją córusią,
Bo ponad wszystko ją miłuję,
Jak to zwykle córkę — mamusia.

Danuta Wyrybkowska.

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Tym czasem pani Willemer nie próżnowała. Otworzyła ona list, który Sylwia pisała do swych rodziców i przeczytała go uważnie.

— Dziewczyna ta jest zupełnie normalną! — mruknęła, skończywszy czytanie listu. Potem podarła go w małe kawałeczki, otworzyła okno i wyrzuciwszy jej patrzała, jak fruwają w powietrzu.

Wiatr roznosił je na wszystkie strony, jak gdyby się nimi bawił. Pani Willemer przypatrywała się temu z uśmiechem, a przecież los, życie i szczęście mieszkańców leśniczówki, zależało od małych świstów papieru.

— Jeżeli sprawy tej nie pokieruję rozsądnie — myślała — to Silas zakocha się po uszy w tamtej dziewczynie. Ochłodzi to w każdym razie jego zapały, gdy go utwierdzę w myśli, że jego ubóstwiana jest rzeczywiście obłąkana. Nic bowiem tak nie odstręczało mężczyzn, jak chory umysł. Byłoby najlepiej dla mnie, gdyby ona dostawała napady szału. Wtedy musiałby ją Silas wydalić z sanatorium, aby swoim szaleństwem nie niepokoiła reszty chorych. Jestem w stanie zrobić wszystko, co tylko jest w mojej mocy, aby ją do tego stanu doprowadzić.

Ułożywszy ten okropny plan, dodała trochę olejku migdałowego do wody, aby ochłodzić swoją palącą twarz. Potem zadysponowała na kolację ulubioną potrawę dyrektora, przyniosła z cieplarni kilka na pół rozkwitłych róż i ustawiła je zręcznie na biurku dyrektora ,aby mu się przypodobać.

Wieczorem usiadła do fortepianu i miękkim głosem zaśpiewała ulubioną piosenkę Silasa. Tym razem jednak nie uzyskała uznania dyrektora.

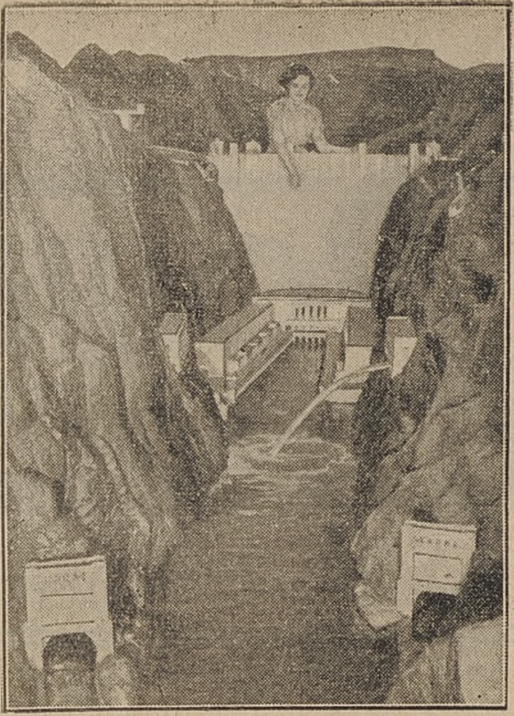
— Łaskawa pani — rzekła do niej, gdy skończyła pierwszą zwrotkę — jestem pani nadzwyczaj wdzięczny za ucztę, którą nam pani sprawia swoim niezrównanie pięknym głosem, ale dziś muszę, niestety, zrezygnować z tej przyjemności, bo obawiam się, że śpiew rozdrażni chorą.

Willemerka zbladła ,ale zapanowała nad sobą do tego stopnia, że uśmiechnęła się łagodnie i wstała od fortepianu.

— Ma pan słuszność, panie dyrektorze — odparła łagodnie. — Niech pan dyrektor wybaczy moją nieuwagę, ale wiadomo panu przecież jak namiętnie lubię muzykę ,że nawet zadawalam się w braku lepszych, moimi skromnymi produkcjami.

Kiedyindziej byłby dyrektor odpowiedział Willemerce miłym komplementem i byłby zbił jej skromność, ale dziś myśli jego tak były zajęte pacjentką, że prawie nie słyszał słów swej towarzyszki i wogóle też na nie nie reagował.

Było to nadzwyczaj gorzkie upokorzenie dla późnej kobiety, za które



Na wystawie w Los Angelos (Stany Zjednoczone) wyst. model największej tamy wodnej na świecie, zbudowanej w kanionie rzeki Colorado.

jednak miała jej piękna rywalka srogo odpokutować.

Młoda, niedoświadczona osoba byłaby swoją niechęć okazała jawnie, ale po gładkim czole pani Willemer nie przemknęła ani jedna chmurka, a głos jej zachował ten sam melodyjny dźwięk, co przedtem, gdy zwróciwszy się do swego przełożonego, rzekła:

— Możeby pan dyrektor zechciał, abym ja sama czuwała tej nocy przy łóżku chorej?

— Nie mogę przyjąć od pani tak wielkiej ofiary — odpowiedział dyrektor, ale wyraz jego twarzy zdradzał wyraźnie, że byłoby mu nadzwyczaj przyjemnie, gdyby pani Willemer objęła osobiście pielęgnację chorej pacjentki.

— Niechże pan nie mówi o ofiarach, panie dyrektorze — odpowiedziała Willemerka zupełnie łagodnie — jestem szczęśliwą, jeżeli mogę oddać jakąś usługę cierpiącej osobie.

— Ale cała nieprzespana noc znuży panią — perswadował jej Silas.

— Na to nie mogę zważać — uśmiechnęła się pani Willemer. — Czy pan, panie dyrektorze, zważa kiedy na zmęczenie, gdy chodzi o spełnienie obowiązku? Prawda, że nie? Otóż dobry przykład pana, zachęca nas wszystkich do naśladowania.

— Psuje mnie pani! — uśmiechnął się Silas. — Jestem jednak gotów przyjąć tę wielką ofiarę pani, ale tylko pod tym warunkiem, że mi pani pozwoli, że się tym trudem z panią podzielę.

Twarz młodej kobiety zabarwił lekki rumieniec.

Kochała ona swego pryncypała żarem namiętnego serca i gnębiła ją niezmiernie myśl, że Silas zainteresował się Sylwią.

W innych okolicznościach byłoby dla niej nadzwyczaj przyjemnem spędzić czas w towarzystwie doktora, ale świadomość, że Silas tylko z miłości dla pięknej chorej, chciał z nią go spędzić, zabrała urok przyjemnego sam na sam.

Prócz tego obecność doktora pokrzyżuje wszystkie jej plany. Postanowiła ona bowiem otworzyć okna w pokoju chorej na całą noc, aby dać przystęp ostremu powietrzu jesiennemu, wtedy, gdy Sylwia będzie leżeć w najsilniejszej gorączce.

Ale troskliwość doktora zniweczyła wszystkie plany niesumiennej intrygantki.

Zamiast zaszkodzić Sylwii w ciągu tej nocy, musiała, zmuszona obecnością swego przełożonego, uczynić wszystko, co było w jej mocy, aby pomóc swej znienawidzonej rywalce.

Gdyby Willemerka przeczuła, że rzeczy tak się ułożą, byłaby powierzyła nocne czuwanie Szarlocie. Ale teraz, nie mogła już cofnąć swej decyzji i spędziła noc w pokoju chorej. Nienawiść i zazdrość toczyły jej serce, ale na ustach miała ten sam zawsze łagodny uśmiech.

Pocieszała się tym, że dzień następny pozwoli jej zniszczyć to, co rozsądna rada doktora zdziałała w ciągu nocy.

Gdy Silas odszedł aby trochę wypocząć, zamówiła rzekomo dla siebie mocnej kawy.

Wlała ją jednak łyżeczką, leżącej w gorączce Sylwii ,czym naturalnie pogorszyła stan chorej.

Około południa udało się znowu niesumiennej kobiecie wlać chorej lampkę starego tokaju.

Na skutek tego wzmogła się u Sylwii i tak już silna gorączka, która dyrektora mocno zaniepokoiła.

— Czuję, że będę musiał zawiadomić dziadka tej panienki o jej ciężkim stanie — rzekł doktor Silas. — Staruszek dał mi swój adres, mam go gdzieś między swoimi notatkami.

Zaczął szukać go między papierami. Utrzymywał on wszystkie swoje papiery we wzorowym porządku i nie zagubił nigdy najmniejszego świstka. — Mimo ścisłego szukania, nie mógł jednak tym razem odnaleźć adresu starego Cohena.

Wpadła mu wprawdzie w rękę kartka papieru, mająca tę samą wielkość i kształt, co tamten świstek z adresem Cohena, ale gdy ją rozwinął, zobaczył, że była niezapisana.

Dyrektor zwierzył się ze swego kłopotu Willemerce.

— Czy pozwoli mi pan poszukać tę notatkę między papierami pana? — spytała, przymilając się do doktora.

— Proszę, może pani będzie tak dobra! — odparł Silas, który miał wielkie wyobrażenie o uczciwości swej pomocnicy.

Willemerka przeszukała dokładnie wszystkie papiery i notatki leżące na biurku dyrektora, nie mogła jednak znaleźć notatki z adresem, którą Cohen wręczył doktorowi.

Przysięgłabym, że ten stary oszust napisał adres jakimś chemicznym atramentem, który po kilku dniach znika z papieru bez śladu — pomyślała sprytna Willemerka. — Z tego powodu doktor znalazł tylko tę niezapisaną kartkę.

Nic jednak nie powiem Silasowi o swoich przypuszczeniach, bo on będzie zaraz przeczuwał, że ten starzec zwabił tu podstępem dziewczynę i że

stała się ofiarą jakiejś strasznej intrygi.

— Czy miała pani większe szczęście ode mnie? — spytał doktor zaciekawiony.

— Niestety, nie! — odpowiedziała krótko.

— W takim razie muszę we Wiedniu zasięgnąć informacji o panu Ismarze Cohenie — rzekł Silas.

— Dość trudne zadanie! — dodała Willemerka odniechcenia.

— Poproszę swego asystenta, aby mi to załatwił — odparł doktor.

— Zdaje mi się, że pan Warner do tej misji się nie nadaje, bo zanadto jest nieporadny — radziła przebiegła dama. — Przy całym szacunku, jaki mam dla jego charakteru, nie przypuszczam, by był on dość zdolny do wykonania tego zlecenia i założyłabym się, że wróci bez adresu Cohena.

— Pani czyni panu Warnerowi niesłuszne zarzuty — bronił go Silas. — Nie chodzi tu przecież o żadną dyplomatyczną misję. Cała rzecz polega tylko na tym, aby poszukał w najnowszej książce adresowej, adres starego Cohena i aby następnie udał się do niego i w jak najostrożniejszy i najdelikatniejszy sposób poinformował go o nagłym zasłabnięciu jego wnuczki.

Willemerka uśmiechnęła się nieznacznie.

— Zobaczymy kto miał słuszność! — rzekła.

Było widocznie przeznaczone, aby jeszcze przez jakiś czas wszystkie okoliczności sprzyjały baronowi, co oczywiście zawdzięczał swej własnej przebiegłości.

Baron Sturmfeder miał bowiem ten dobry pomysł, aby wystąpić pod nazwiskiem starego dziwaka, który rzeczywiście miał umysłowo chorą wnuczkę, umieszczoną gdzieś w zakładzie obłąkanych.

Egon dowiedział się też, że starzec ten wyjechał na jakiś czas za granicę i na tej podstawie obmyślił swoje plany.

Bez nadzwyczajnych trudów odnalazł Warner adres niejakiego pana Ismara Cohena i pojechał do niego doróżką.

Na dzwonienie i pukanie jego nikt się jednak nie odzywał. Po niejakim czasie dopiero wysunęła się jakaś stara kobieta z mieszkania portiera i zapytała obecnego przybysza, co sobie życzy.

— Chciałbym pomówić z panem Cohenem — odpowiedział młody lekarz.

— Wyjechał! — była lakoniczna odpowiedź starej.

— A kiedy wróci? — zapytał znów Warner.

— Nie wiem! — ofuknęła go stara.

— A czy pan Cohen zostawił swój adres? — badał młody doktor.

— Nie, nigdy tego nie czyni — zapewniała staruszka, którą rozbroił talar, wciśnięty jej w rękę przez młodego człowieka. — Pan Cohen często wyjeżdża, ale nigdy nie mówi dokąd jedzie i kiedy wróci.

— Ale pan Cohen ma zapewnie tutaj krewnych? — badał Warner.

— Tylko wnuczkę chorą na pomieszanie zmysłów — odpowiedziała staruszka — ale ją wyprawił z domu, bo mu robiła wielkie szkody.

Kradła mu pieniądze i rzucała je chłopcom na ulicę, a raz znów wrzuciła do pieca kilka banknotów stuguldenowych, bo chciała widzieć, jak się palą i wyrządzała mu inne podobne przykrości.

— Czy pan Cohen prócz tej wnuczki nie ma żadnych krewnych? — pytał Warner.

— Nie wiem! — rzekła staruszka.

Widocznie nie wiedziała nic więcej o stosunkach Cohena.

Warner podziękował jej i wrócił do natorium. Doniósł Silasowi, że Cohen wyjechał na jakiś czas, co jednak nie wzbudziło najmniejszego podejrzenia u dyrektora.

— Jest to całkiem naturalne — rzekł — że kupiec robi długie podróże. Oszczędzimy mu przynajmniej niepotrzebnej troski, bo może stan chorej, do jego powrotu polepszy się.

— A czy jest nadzieja polepszenia? — spytała pani Willemer zirytowana — obawiam się, że tak nie jest. Stan pacjentki wydaje mi się bardzo niebezpieczny.

Gdyby Silas przeczuwał, że biała ręka pięknej obłodnicy, ta sama ręka, którą on tak często ściskał po przyjacielsku, podała chorej szkodliwą truciznę, byłby ze wstrętem odwrócił się od zbrodniarki.

Sam jednak uczciwy, dyrektor nie umiał się zdobyć na żadne podejrzenia. Nie potrafił tylko sobie zdać sprawy z tego, że żaden z jego środków nie pomógł dotychczas chorej. Było to dla niego zagadką, której nie umiał rozwiązać.

Siódmego dnia, po przybyciu Sylwii do sanatorium, Silas znalazł na swoim biurku list, którego adres wskazywał, że pisała go bardzo niewprawiona ręka.

Otworzył kopertę i zaczął czytać:

Wielmożny panie dyrechtorze!

Niech si wielmożny pan nie gniewa, żem taka śmijała i pisze ten list. Ali ni moge jenaksze zrobić, bo musze panu coś donieść. Wim, co pani Willemer by chciała być panią, dyrechtorowu Silasowu. Ali ona nie wi nawet czy ji mąż żyje i sia drugi raz wydała, to by była bigamija, a za to, to je areszt. Zaś dla pana dyrechtora lipsza młoda panuńcia, aniżeli stara baba. Tą obca panuńcia, chtura je w sanatoryi byłaby dobra. Ali musze donieść panu dyrechtorowi, że pani Willemer dała pacientce truciznu i jak pan chce ratować choru, tu nech oddali Willemerku.

Na tem kończył się list.

Doktor Silas zmiął i rzucił go daleko od siebie, a potem zaczął biegać szybko po pokoju.

— Czyż to możliwe, aby to była prawda? — mruknął zdesperowany.

W pierwszej chwili nie chciał przywiązywać wagi do tego paszkwilu i miał już nawet zamiar pójść z tym listem do Willemerki i prosić ją, aby mu pomogła wynaleźć niegodziwą osobę rzucającą takie potwarze, ale potem namyślił się. Przypomniał sobie niektóre okoliczności, na które nie zwracał nigdy uwagi, a które teraz wzbudziły jego podejrzenie. Postanowił więc odtąd panią Willemer bacznie obserwować.

— Czy zna pan to pismo? — spytał dyrektor swego asystenta, pokazując mu kopertę otrzymanego listu.

Warner przypatrzył się uważnie niezręcznym literom i rzekł po chwili:

— Jest to prawdopodobnie pismo Augusty, odprawionej dozorczyni. W dzień po swoim odejściu pisała ona do mnie z prośbą, abym się za nią wstawił i uzyskał dla niej dobre świadectwo służby. Nie mogłem naturalnie prośbie jej uczynić zadość, bo nie zasłużyła na to.

— Czy może sprzeczała się kiedy z panią Willemer? — pytał dyrektor.

— Pani Willemer złapała ją podobno na jakimś nadużyciu i zaraz ją odprawiła — informował go młody lekarz.

— Ach, tak! — zawołał Silas pogardliwie — i byłby znów chętnie otrzymany list wziął za oszczerstwo, gdyby nie nowa okoliczność, która wzbudziła w nim nowe podejrzenie.

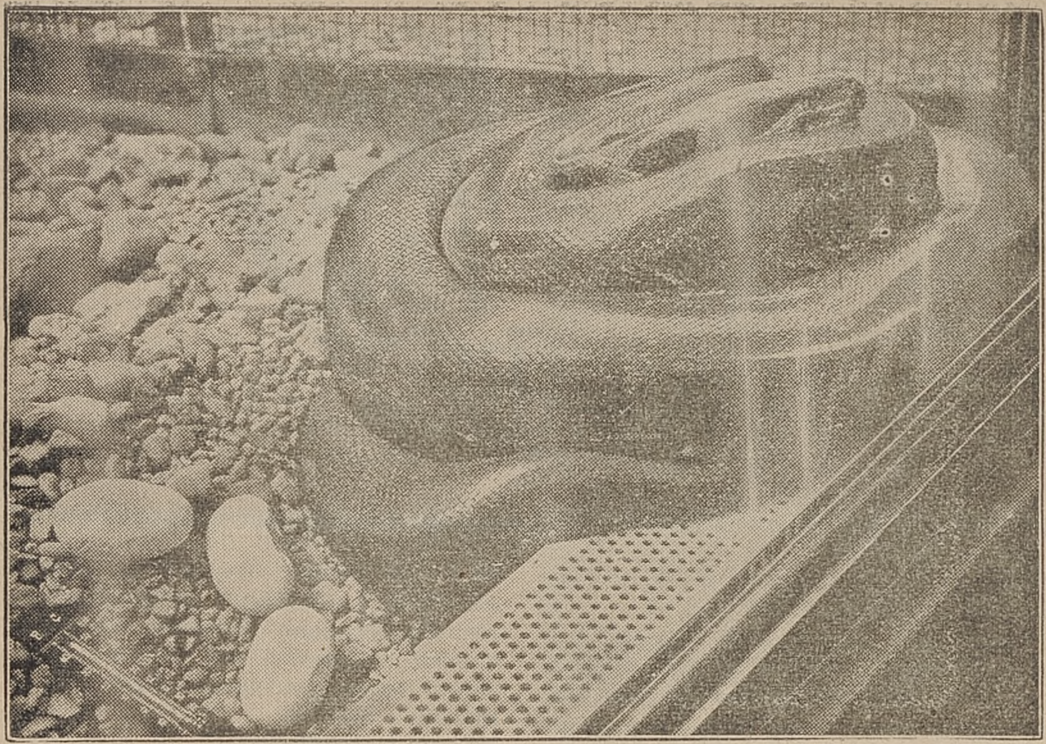
— Czy pan brał indyjską truciznę, panie dyrektorze? — spytał Warner.

— Nie, nie wziąłem nawet odrobiny! — zapewniał go Silas.

— To dziwne! — zawołał Warner — drugi asystent mówi mi to samo, a przecież brakuje dość dużo tej soli.

Silas otworzył zaraz szafę, w której chował truciznę i spostrzegł, że Warner miał słuszność. Słoik był otwarty i napoczęty. Brakowało dużo.

— Ktoś musiał zabrać trochę tej trucizny dla własnego użytku — rzekł Si-



Po raz pierwszy od wielu lat wylągł się w berlińskim akwarium — wąż. Ma on 3.60 m. długości i złożył 35—40 jaj.

las zamyślony. — Dziwię się tylko temu, że sprawca nie uzupełnił brakującej ilości jakimś innym płynem.

— Musiał mu ktoś w tym przeszkodzić — odpowiedział młody doktor — bo inaczej byłby to na pewno uczynił, aby zatrzeć ślady złodziejstwa.

— Widział pan może, kto w ostatnim czasie był przy tej szafie? — spytał Silas.

Przed kilku dniami widziałem, że pani Willemer ścierała z tej szafki kurze — odpowiedział Warner — ale ona przecież nie zasługuje na żadne podejrzenie.

W tej chwili poruszyła się lekko portiera.

— Ktoś musi być w przyległym pokoju! — zawołał Silas i poskoczył natychmiast, aby zajrzeć kto tam być może.

Ale pokój był próżny.

Silas otworzył drzwi prowadzące na korytarz, ale i tam nikogo nie zobaczył.

Gdyby jednak zajrzał do małej niszy, znajdującej się między dużymi szafami od bielizny, byłby tam zobaczył panią Willemer, która podsłuchała rozmowę i schowała się tu z obawy, aby jej ktoś nie odkrył.

Trzęsąc się z wściekłości skuliła się tak, aby jej nikt nie zobaczył. Oczy jej błyszczały, jak u drapieżnych zwierząt, którym wydarto zdobycz.

— Gdybym tylko mogła się dowiedzieć w jaki sposób to nędzne stworzenie dowiedziało się o moich planach! — — sapała, zgrzytając zębami. — Ta Augusta musi się tu kręcić bez mojej wiedzy i szpiegować po nocach. Ale ja sobie już dam radę. Chcę i muszę cel swój osiągnąć, a kto mi tylko w drodze stanie, tego sprzątnę bezwzględnie!

Podczas, gdy pani Willemer powzięła takie postanowienie, umówił się dyrektor Silas ze swoim asystentem, że będą obaj, wraz z jedną z najzręczniejszych dozorczyń czuwać na odmianę przy nowej pacjentce, która w tak zagadkowy sposób zachorowała i że nie zostawią Sylwii nigdy samej z dozorczynią.

— Przekonany jestem ,że ktoś dopuścił się grubego nadużycia wobec chorej — rzekł dyrektor przygnębiony.

— I ja się tego obawiam! — odpowiedział Warner.

— Mam nadzieję, że przy wielkiej ostrożności uda się nam uratować życie pacjentki ,mimo, że obecnie poważnie jest zagrożone — mruknął Silas okropnie zmartwiony.

ROZDZIAŁ CXXI

Na rzece Missisipi

Po wyczerpującej podróży koleją, Mayerowie mieli jechać dalej parowcem, a że na parowcu dawali pasażerom do biletu i żywność, więc rudy Mayer nie potrzebował naruszać swej szczupłej gotówki.

Po kilkudniowym pobycie na parowcu zbliżali się powoli podróżni do wylewu rzeki Ohio.

Rzeka ta, która dotąd ciągnęła się szeroko i majestatycznie, stawała się teraz coraz płytszą, a brzegi jej niższe i więcej monotonne. Widać było wielkie obszary ciągnących się bagnisk, które szerzyły wśród ludności febrę.

Na tych niezdrowych bagniskach wznosiło się kilka półrozwalonych chat, których mieszkańcy byli drwalami i zaopatrywali parowce w opał.

Zuzia widziała wszędzie wysokie stosy drzewa, ułożonego jak najbliżej brzegu.

Naraz rozległ się przeraźliwy świst. Okręt przybił do brzegu.

Mężczyźni w zniszczonych ubraniach, wysuszeni febrą, powybiegali z chat i zaczęli pośpiesznie ładować drzewo na okręt, w czym pomagała im załoga i kilku biednych pasażerów, którzy się do tego zobowiązali.

Drwale, dostawszy wynagrodzenie wyskoczyli znowu na ląd, ściągnięto zwodzony most na pokład parowca i okręt ze świstem i sykiem puścił się w dalszą drogę.

— Jak nędznie i biednie wyglądali ci drwale — zauważyła Mayerowa, zwracając się do jednego z pasażerów.

Ten przysunął swoją fajeczkę z jednej strony ust na drugą, splunął w czyste fale rzeki Ohio i rzekł:

— To pochodzi z febry!

— Czy ludzie wytrzymują długo w tym niezdrowym klimacie? — zapytała Zuzia ciekawie.

— Padają jak muchy — odpowiedział. — Febra szerząca się z powodu tych bagnisk, niszczy setki ludzi.

— Jakie komiczne bazie mają tutaj drzewa! — zawołała Zuzia.

— Zbliżamy się do Missisipi! — informował ją pasażer.

— Missisipi — powtórzyła Zuzia rozweselona — co za komiczna nazwa.

— Jest ona indyjskiego pochodzenia i znaczy: „ojciec strumieni“ — tłumaczył pasażer Zuzi.

— O, jestem ogromnie ciekawa zobaczyć tę rzekę — śmiała się Zuzia — musi to być jakiś szczególny strumyk, skoro nosi taką niezwykłą nazwę.

— Spodziewam się! — potwierdził.

Młoda kobieta rozczarowała się jednak ogromnie, zobaczywszy rzekę.

Wody Ohio są nader czyste i przeźroczyste, ale fale Missisipi są ciemne.

W miejscu, gdzie Ohio wpada do Missisipi, zarysowują się jej czyste wody, jak klin ostro odcięty w mętnych, błotnistych falach Missisipi.

Brzegi tego potężnego strumienia otoczone są rozległymi lasami.

Maszyna zaczęła znów syczeć, a gdy parowiec dostał się w szerokie koryto Missisipi, prąd tejże rzeki okazał się tak silny, że cały okręt zaczął się chwiać na wszystkie strony i kołysać.

Jakże zdziwiła się Zuzia, gdy zobaczyła, że na parowiec wciągają konwiami wodę z tej rzeki i że tę mętną, obrzydliwie wyglądającą wodę, ludzie piją bardzo łapczywie.

— To nadzwyczaj zdrowy napój — chwalił znajomy Zuzi — chroni przed wielu słabościami. Niech się pani napije.

— To powiedziawszy, podał Zuzi szklankę z wodą, którą wzięła niechętnie i udawała tylko, że z niej pije.

W tej chwili okręt zakołysał się gwałtownie, uderzywszy o jeden z pni drzewnych, które sterczą na powierzchni rzeki. Chowają się one często zdradliwie pod wodą i uszkadzają nieraz bardzo poważnie okręt.

Zuzia krzyknęła z przestrachu.

— O, to był tylko pień drzewa — uspakajał ją jeden z majtków.

Powstał szalony popłoch pomiędzy pasażerami, mówiono głośno i pokazywano sobie z żywą gestykulacją tył okrętu.

Zuzia zbliżyła się do nich i zobaczyła drugi parowiec, który zbliżał się do nich w największym pośpiechu, tak, że iskry biegły w górę z jego komina.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli ten parowiec nas nie przegoni! — krzyknął jakiś chudy Amerykanin ze złością.

— Kapitanie — zwrócił się do komendanta okrętowego — jeśli pan na to

pozwoli, to nigdy już nie pojadę pańskim okrętem!

— Zakładam się o 10 dolarów, że nas przegoni! — zawołał jakiś Irlandczyk.

— Zakładamy się więc! — odparł jakiś barczysty farmer.

— Kapitanie, tego wstydu pan nam nie zrobi, aby tamten parowiec nas wyprzedził — rzekła jakaś młoda kobieta z zapałem i wszyscy prawie pasażerowie przyłączyli się do jej prośby z takim przejęciem, jak gdyby chodziło o sprawę ogromnie ważną i doniosłą.

Kapitan ulegając prośbom, otworzył drzwi, prowadzące do maszyn i wydawał głośno rozkazy palaczom i maszynistom.

Okryci sadzą palacze dorzucili na ogień olbrzymie masy drzewa. Maszyna sapała i pracowała, ale odległość między parowcami zmniejszała się coraz bardziej, ku najmniejszemu rozczarowaniu pasażerów okrętu, na którym jechała Zuzia.

— Ci oszuści nas prześcigną! — denerwowali się mężczyźni.

Jedni z nich zakładali się, inni prosili kapitana, aby dokładał wszelkich sił, aby nie dać się wyprzedzić, niektórzy zapewniali, że widzą już triumfujące twarze pasażerów tamtego okrętu, co jednak było fizyczną niemożliwością.

— Czy pan chce naprawdę dopuścić do tego, aby tamci triumfowali? — zagrzewał jeden z pasażerów kapitana — niech pan każe porządnie parę puścić.

— Już jest pełna para — zapewniał kapitan smutnie — nie mogę nic więcej uczynić, gdyż maszyna pęknie.

Oświadczenie to, które kapitan dał niechętnie, natrafiło na ogólny opór.

— Do diabła! Sądziliśmy, że mamy dzielnego kapitana, a nie tchórzliwą babę! — krzyknął gniewnie jeden z pasażerów. — Kocioł nie pęka tak prędko! Niech pan każe palić, ile tylko wlezie.

— Ależ ja mam obowiązek dbać o bezpieczeństwo pasażerów i nie narażać ich życia! — opierał się kapitan tym żądaniom.

— Zwalniamy pana z tego obowiązku — zabrzmiało kilkaset głosów razem. Nie chcemy, ażeby na tamtym parowcu triumfowali, że odnieśli zwycięstwo nad nami.

Daremnie kapitan zwracał uwagę na to, że na pokładzie są kobiety i dzieci, na które musi mieć wzgląd. Ale kobiety nie chciały nic o tym słyszeć. Przeciwnie, zagrzewały jeszcze kapitana aby się żadnymi względami nie krępował.

Zaczęła się więc dzika i niebezpieczna, a tak ulubiona w Ameryce gra, pochłaniająca rocznie tylu ludzi i okrętów.

Na każdym z obu okrętów czyniono najszaleńsze wysiłki, aby jechać jak najszybciej, na każdym z obu parowców zagrzewali pasażerowie kapitana do walki, bez względu na niebezpieczeństwo, które groziło załodze i maszynom.

Te ostatnie sapały i syczyły tak niepokojąco, że tchórzliwe usposobienia byłyby już w śmiertelnym strachu. Ale Amerykanie są odważni.

Ogół pasażerów, włącznie z kobietami i dziećmi okazywał tylko przyjemne naprężenie i rozochocenie jak gdyby przy jakichś wyścigach — nikt nie odczuwał śladu trwogi.

Drugi okręt był już tak blisko, że można było dokładnie zobaczyć, co się na nim działo.

Pasażerowie stali obok siebie, śmiali się, gawędzili wesoło i byli w radosnym nastroju zwycięzców.

Ale przedwczesna ich duma i radość została srodze ukarana.

Okropny trzask, jak gdyby wystrzał armatni ,dał się słyszeć i chmura pary wodnej zakryła okręt. Kawały żelaza rozpadały się wokół z ogromną siłą. Syczało i szumiało tak, jak gdyby ogromna masa wody lała się na ogień.

I rzeczywiście woda z olbrzymiego kotła, który para rozerwała w kawały, zalewała ogień.

Krzyczano w niebogłosy. Okręt zaczął się chylić na wszystkie strony i pochylił się w bok. Musiał być przedziurawiony, bo napełnił się w okamgnieniu wodą i zaczął tonąć.

Drugi okręt wysłał natychmiast rozbitkom na ratunek łodzie.

Pasażerowie, którzy umieli dobrze pływać osiągnęli bez trudu jedną z wielu pobliskich wysepek i uratowali się szczęśliwie.

Innym powiodło się gorzej.

Ogromny aligator złapał dziecko i połknął je na oczach matki.

Wielu z mężczyzn, umiejących pływać, łatwo mogło się uratować, a przecież utonęło, bo zostali pociągnięci w głębinę przez tych, którzy nie umiejąc się w wodzie poruszać, trzymali się ich kurczowo, aby w ten sposób uratować swoje życie.

Łodzie ratunkowe, wysłane przez drugi okręt, nie wystarczyły, aby uratować ogromną liczbę rozbitków.

To też pasażerowie nieuszkodzonego parowca rzucali pływającym liny i wysuwali deski, aby nieszczęśliwi ludzie mogli się uczepić i w ten sposób uratować życie.

Ale pomimo, że sam kapitan okrętu, załoga i pasażerowie współzawodniczyli ze sobą, aby pomóc nieszczęśliwym, to jednak ani połowa rozbitków nie została uratowana.

Palacze, maszyniści, czterech majtków i przynajmniej z tuzin pasażerów zginęło w chwili, gdy kocioł, przepełniony wodą i parą, eksplodował, zabijając wszystkich odłamami żelaza.

Rzeka Missisipi pochłonęła liczne ofiary.

— To miejsce nazywa się cmentarzem okrętowym — rzekł jeden z pasażerów — bo tu zdarzają się często takie wypadki.

— Na przestrzeni z Kairu do St. Louis rozbiło się 36 okrętów w jednym roku — zauważył drugi.

Gdy się uratowani dostali na pokład nieuszkodzonego parowca, okręt ruszył dalej w drogę.

Na rzece ukazywały się coraz liczniejsze wysepki, obsadzone topolami.

Prąd porywał kolosalne pnie drzew wraz z koronami i korzeniami. Płynęły one przed okrętem i sternikowi tylko z trudnością udało się je omijać.

Prócz tych pni były jeszcze inne przeszkody, gdyż maszyna zaczęła wydawać niepokojące tony.

Po obu stronach szerokiego brzegu widać było chatki okolone polami kukurydzy. Z poza lasów sterczały potężne grupy skał piaskowych o dziwnych kształtach, uformowanych przez wodę. Ciągnęły się one wzdłuż wybrzeży, a lud dawał im różne nazwy.

Czarne oczy Zuzi pochłaniały ciekawie zmieniające się stale panoramy. Nagle zobaczyła okręt z zarzuconą kotwicą, stojący prawie nieruchomo.

Z okrętu tego wychodziło wielu mężczyzn w jakichś szczególnych ubraniach. Wyskakiwali oni z parowca do małych łódek.

— Co oni robią? — zapytała Mayerowa.

— To są nurkowie — odpowiedział jej majtek — spuszczają się oni w dzwonach nurkowych na dno rzeki, aby odnaleźć zatopione skarby okrętu, który tu zatonął przed kilku tygodniami.

Zuzia westchnęła.

— Na dnie rzeki znajdują się niezliczone skarby — pomyślała sobie — a ja jestem biedna. Czemuż to ja nie mam mocy wydostania tych olbrzymich i niezliczonych skarbów, któreby mnie mogły uszczęśliwić?

Nie wpadło jej zupełnie na myśl, aby podziękować Bogu za wyratowanie z okropnego niebezpieczeństwa, w którym się znajdowała i które by się mogło było skończyć dla nich wszystkich tak samo rozbiciem i zatonięciem okrętu.

Zamiast dziękować Bogu, że żyje, narzeka na los swój, że jest biedną.

Noc już zapadła. Ale niezadowolona kobieta stała jeszcze dość długo na po-



Zdjęcie nasze przedstawia króla angielskiego Jerzego VI z królową Elżbietą, następczynią tronu księżniczką Elżbietą, i księżniczką Margaret Rose — gdy po uroczystości koronacyjnej dziękuje z balkonu zgromadzonej na ulicach ludności.

kładzie, spoglądając na przemian to na gwiaździste niebo, to na mętne fale i gęste lasy nadbrzeżne.

Wreszcie wilgotna i zimna mgła nocna, zmusiła ją, aby wróciła do swojej kajuty.

ROZDZIAŁ CXXII

Wierne serca

Matowe promienie zimowego słońca wpadały przez okno do pokoju Hortensji, urządzonego pięknie przez kochającego ojca.

Skromna, ale nadzwyczaj elegancka jej suknia żałobna podnosiła jeszcze piękność jasnowłosej, smukłej kobiety.

Gellini z córką nie wstydzili się nosić żałoby po Irmgardzie, która tak nagle i okropnie zeszła z tego świata. Małej garstce znajomych mówiono, że zmarła im jakaś krewna we Włoszech.

Z głową opartą na rękach siedziała Hortensja, pogrążona we wspomnieniach o matce, którą odnalazła tak późno.

Krótki czas upłynął dopiero od pogrzebu Irmgardy, ale stęsknionej córce zdawało się, że to lata całe przeszły.

Przypomniała sobie nagie drzewa i ołowiane niebo ponurego, jesiennego dnia, w którym złożono do grobu piękną i czarującą niegdyś Irmgardę.

Gellini z Hortensją szli za uwieńczoną trumną jako jedyni bliżsi krewni, bo mąż zmarłej, którego mistrz o śmierci jej zawiadomił, nie zjawił się na pogrzeb. Kazał on nawet przez swego pełnomocnika oświadczyć, że w grobie rodzinnym Iffalwich nie ma miejsca dla zwłok Irmgardy.

Gellini sporządził więc sam dla swej ukochanej samotny i wspaniały grób na cmentarzu. Nad sklepieniem podziemnym, w którym spoczywały zwłoki Irmgardy, miał się wznosić artystycznie wykonany pomnik z białego, kararyjskiego marmuru.

Gellini dał już nawet zlecenie sporządzenia nagrobku jednemu znanemu rzeźbiarzowi. Nie chciał bowiem, aby grób nieszczęśliwej Irmgardy był bezimienny. Przeciwnie, miało być na nim złotymi literami wypisane:

Księżna Irmgarda Iffalwi
urodz. hrabianka Schusdorf

Tak więc miłość mężczyzny, którą Irmgarda za życia z pogardą odepchnęła, zgotowała jej po śmierci grób, a Bela Iffalwi, dla którego oddałaby ostatnią kroplę krwi, odebrał jej nawet pośmierci należące się jej słusznie miejsce spoczynku.

Hortensja często chodziła na jej grób i zanosiła kwiaty, a wracając wstępowała do swego starego mieszkanka.

Co wieczora, w pokoiku na Schönbrunnerstrasse, wracała myślą do chwil, przeżytych z Leonem. Nadzieja odzyskania męża nie zamarła bowiem jeszcze w sercu młodej kobiety.

Hortensja nie miała jeszcze lat 17-tu, a los tak ciężko już ją dotknął; czy więc kielich goryczy nie miał się wyczerpać do dna i po tylu smutkach znowu zaświecić.

Młoda kobieta śniła często na jawie. Widziała się znowu u boku Leona, w zupełnej z nim harmonii i bezgraniczne szczęście napełniało jej serce.

Z ciężkim westchnieniem budziła się z podobnych snów, od których szara rzeczywistość tak smutno odbijała.

Była sama, opuszczona i wzgardzona; a wierność, którą w sercu zachowała, podeptaną była nogami przez przedmiot jej tęsknoty.

Wejście Luigi'ego zbudziło Hortensję z zamyślenia.

— Asesor Feldern! — zameldował.

— Proszę go tutaj wprowadzić! — rzekła, widocznie uradowana.

Od owego spotkania się o brzasku porannym, w którym Hortensja błądziła po ulicach Wiednia w zaniedbanym ubiorze, asesor był częstym gościem w domu Gellinich.

— Muszę panu dziś sama wystarczyć — rzekła do wchodzącego uprzejmie — bo ojciec jest jeszcze zajęty.

Feldern pochylił się z szacunkiem do jej rąk i bąknął jakiś banalny komplement.

Wybrał on umyślnie ten czas na wizytę, bo wiedział, że wtedy Gellini ma lekcje u jakiejś arystokratycznej uczennicy i chciał być raz sam na sam z Hortensją.

Był jednak zbyt rozsądny, aby się do tego przyznać, bo wiedział, że mógłby Hortensję tym odstraszyć.

— Jaka pani pilna — dziwił się asesor, wskazując na rozłożone książki — zastaję panią zawsze przy nauce! Podziwiam panią szczerze!

— O, widzę dopiero teraz, ile mi jeszcze brakuje! — odpowiedziała Hortensja rumieniąc się lekko. — Dawniej nie umiałam tego osądzić. Powinnam była być dużo pilniejszą, aby nadrobić to, co mi brakuje! A zresztą książki są miłymi towarzyszami w samotnych godzinach.

— Pani dużo sama przebywa! — zauważył asesor z współczuciem — wy-

obrażam sobie jak pani smutno. Wiem to z własnego doświadczenia, gdyż i ja jestem prawie zawsze skazany na samotność!

— Żartuje pan, panie Feldern — zaśmiała się Hortensja — przecież pan cały dzień obraca się wśród ludźmi! Rano przez kilka godzin w urzędzie, następnie obiad w klubie, a wieczorem jest pan zapewnie zawsze w teatrze lub w licznym towarzystwie, kiedyż więc jest pan samotny?

— To prawda, łaskawa pani — zawołał asesor smutno — jestem dużo pozą domem, ale jeśli kiedy siedzę w domu, czuję wokół siebie pustkę.

Pokoje nieprzyjemne, bo służący nigdy porządnie nie posprzątała, czasem znowu gorąco nie do zniesienia, gdyż nakłada on drzewa bez pamięci, pomimo, że na dworze nie ma mrozu, albo jest szalenie zimno, gdyż zdarza się, że zapomina pozatykać otwory w kominie.

Kawa ranna także jest pełna niespodzianek. Raz przynosi mi ją w filiżance bez uszka, innym razem kawa ma zapach mydła i t. p. Gdy spędzam kiedy wieczór w domu: lampa kopci, bo Karol jej nie wyczyścił, pokój jest zimny, bo Karol za mocno napalił, a dla naprawienia tego zostawił za długo pootwierane okna. Nie mogę nigdy znaleźć żadnej książki na swym miejscu, bo Karolek zawsze mi je skrzętnie chowa. Dzwonię, Karol zjawia się ze spuszczonym nosem, niezadowolony, że odważyłem się zostać w domu, przez co on jest krępowany. Pytam nieśmiało o książkę, którą szukam — znów obraza! Oświadcza mi wreszcie, żem ją sam gdzieś schował, a teraz do niego mam pretensję. Wreszcie ośmielam się posłać go po dodatki do ponczu i czekam tak długo, że się zaczynam obawiać, że utopił się gdzieś z rozpaczy nad moją bezwzględnością. Gdy wreszcie po długim czasie wraca, poznaję po zapachu alkoholu, który roznosi się dookoła mnie, że szukał pociechy w kieliszku. I Karol jest jeszcze jeden z najlepszych, bo inni, to mnie jeszcze oszukiwali i okradali, a on jest przynajmniej rzetelny. Pojmuje więc pani, że takie stosunki oddalają.

Hortensja śmiała się serdecznie z dowcipnego opowiadania asesora.

— A może pan się ożeni, panie Feldern? — zawołała.

Feldern spojrzał na nią ze zdziwieFniem, a potem rzekł z wyrzutem:

— I pani mi daje tę radę?

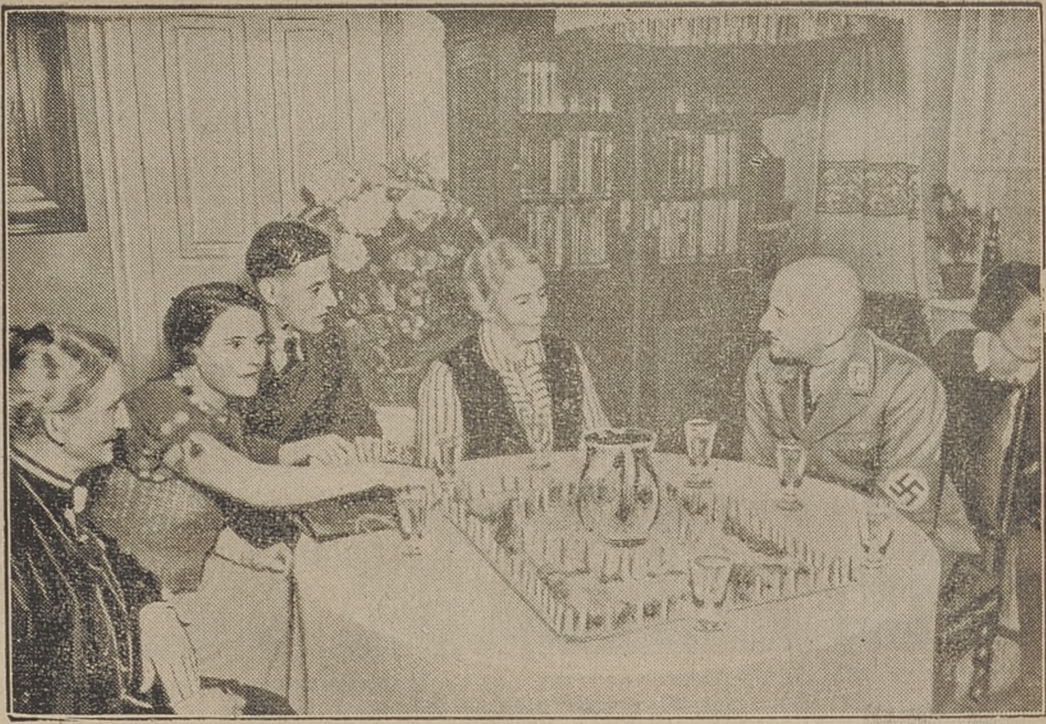
— Dlaczego nie? — zapytała Hortensja, nie przeczuwaająć o co mu chodzi — powinien pan posiadać ładną i dobrą żonę, któraby pana kochała, gdyż zasługuje pan na to szczęście.

— Znam tylko jedną, któraby mnie mogła uszczęśliwić! — szepnął Feldern.

— A więc przecież — zawołała Hortensja, nie domyślając się niczego — serce pana nie jest już wolne? O, panie Feldern, dlaczegoż pan w takim razie zwleka? Dlaczego pozbawiia pan swej wybranej tak wielkiego szczęścia?

— Bo nie mam odwagi wypowiedzieć jej, co myślę — odpowiedział młody asesor namiętnie, a potem nagle umilkł.

Feldern postanowił sobie nie zdradzić się przed Hortensją z swoich uczuć



Nie tylko Ameryka szczyci się czworaczkami, które budzą sensację świata — również w Niemczech istnieją czworaczki, które w ostatnich dniach obchodziły 25-te urodziny. Zdjęcie nasze przedstawia panią Ortmann z trojgiem dzieci — czwarta córka wyszła za mąż i jest nieobecna — matkę i zastępcę rządu, składającego życzenia matce.

dopóty, dopóki się nie nadarzy ku temu sposobność. Chwila obecna zaś wydawała mu się stosowną, nie chciał więc tej okazji zaniedbać.

— Nie ma pan odwagi? — powtórzyła Hortensja zdziwiona — ależ panie Feldern, po co te obawy? Pochodzi pan przecież ze starej szlacheckiej rodziny, ma pan najlepsze szanse na przyszłość, żyje pan w dobrobycie, jest pan przystojny, miły i rozsądny. Każda panienka powinna być dumna z pana. Może pan chce jaką księżniczkę? — zapytała z uśmiechem.

Uważała ona Felderna oddawna za swego przyjaciela i brata, to też przemówiła teraz do niego jak siostra.

— Nie — odpowiedział Feldern drżącym głosem — nie chcę żadnej księżnej, gdyż kocham istotę, którą odważam się ubóstwiać tylko potajemnie.

— Ależ to nierozsądne! — zawołała Hortensja z zapałem — nie pojmuję dlaczego pan się nie docenia, panie Feldern. Skąd ta nagła nieśmiałość?

— Jeżeli pani mi sama dodaje odwagi — rzekł asesor wzruszony — to nie będę dłużej milczał. Hortensjo! — wybuchnął namiętnie. — Czyż pani nie przeczuwa, kto jest moim ideałem? Czyż pani nie wyczytała w moich oczach, że serce moje należy jedynie i na zawsze do pani? O, Hortensjo! Litości dla uczucia, które mnie trawi i pożera! Niech pani wysłucha mych wyznań!

Hortensja cofnęła się przestraszona, opanowała się jednak i rzekła poważnie, lecz smutnie:

— O, panie Felden, czemu pan nie oszczędził mnie i sobie tej przykrej godziny?

— Bo nie miałem tyle siły, aby dłużej milczeć! — zawołał Felden z rozpaczą w głosie. — Kocham panią nade wszystkie, niech pani nie odrzuca mej wielkiej, prawdziwej miłości! Niech pani

ko w świecie! Jest pani dla mnie uoso-
bieniem piękności i szlachetności. Hor-
zostanie moją żoną!
Upadł przed nią na kolana i podniósł

błagalnie ręce.

— Ależ, panie Felden — rzekła Hortensja — zapomina pan, z kim pan mówi! Nie jestem przecież wolną!

— Nie! — zawołał Feldern gniewnie — to panią nie powinno obchodzić. Co ręce ludzkie złączą, to mogą też rozłączyć. Małżeństwo pani dawno już jest rozwiązane! Żaden sąd w świecie nie będzie się wahał unieważnić ślubu, który niewierny małżonek sam zerwał, opuszczając swoją żonę!

— Nasz Kościół nie uznaje rozwodu! — upierała się Hortensja.

— Niech się pani nie wiąże takimi względami! — prosił Feldern. — Wierzymy przecież wszyscy w jednego Boga! Ja jestem protestantem, więc niech pani przejdzie na mój obrządek, a wtedy nic nam nie będzie stało na przeszkodzie.

Ujął ją za obie ręce i okrył je gorącymi pocałunkami.

Hortensja cofnęła się lekko.

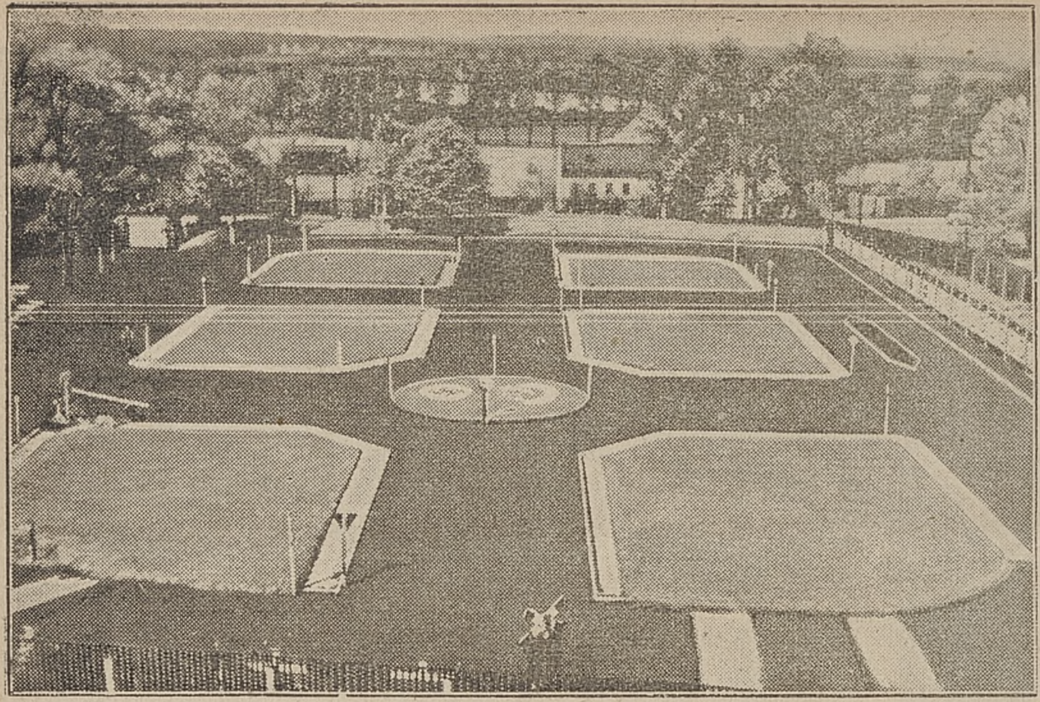
— Panie Feldern! — rzekła z godnością — muszę panu wyjaśnić pewne sprawy. Otóż lubię pana, tak, jak siostra kocha jedynego, drogiego brata, ale wielka, jedyna i święta miłość mego serca należy niepodzielnie do mego męża. Dochowam mu wierności do końca życia, pomimo, że sercem moim pogardził.

— A więc smutne przeczucie moje nie zawiodło mnie — jęknął Feldern. — Odrzuca pani moją miłość i dochowuje wierności temu nędznikowi, który panią niesumiennie zdradził!

To rzekłszy jęknął i zakrył twarz rękoma.

— Ani słowa więcej o moim mężu! — zawołała Hortensja — sprawę moją i jego niech Bóg rozsądzi!

— Hortensjo! — jęknął Feldern — czy pani myśli, że miłość pani nie osłabnie i że długie lata nieobecności, nie zatrą w sercu pani obrazu jej męża? Czy może uczucie powstałe w miłości nie podniecane wzajemnością, przenieść się na dalsze lata?



W Chemnitz, w Niemczech, wybudowano ogromny ogród, który wyposażono w wszelkie urządzenia służące do nauki jazdy na autostradach i drogach.

— Jestem pod wielu względami jeszcze trochę dzieckiem — rzekła Hortensja z prostotą — i daję się łatwo kierować i wpływać na siebie, ale pod tym względem jestem stanowcza. Serce moje należy do mego męża. Zdobył on je sobie, gdym była jeszcze dzieckiem, ale zdobył je na zawsze.

— Więc nie daje mi pani żądnej nadziei? — zapytał Feldern.

— Niech pan zostanie moim przyjacielem i bratem — prosiła go Hortensja.

— Niech i tak będzie! — rzekł zrezygnowany — niech pani zapomni o dzisiejszej rozmowie i bądźmy nadal przyjaciółmi.

Nie tracił on nadziei. Hortensja była jeszcze młodą, i sama siebie nie znała. Nie wszystko jeszcze było stracone. — Trzeba tylko cierpliwie czekać i być uległym, to ją z czasem wzruszy!

Pożegnał się i odszedł przygnębiony. Hortensja patrzyła smutna za nim, bo wiedziała, że odtąd zniknie swoboda w stosunku ich na zawsze. Prócz tego żal jej było Felderna, a niefortunne jego oświadczyny pozostawiły przykry ból w jej sercu.

ROZDZIAŁ CXXIII.

Odsłonięta tajemnica

Paniczny strach ogarnął mieszkańców hotelu Castel unövo po zjawieniu się rudej, potwornej kobiety. Większa część gości wyprowadzała się z hotelu a niektórzy wyjeżdżali nawet zupełnie z Mediolanu, w którym życie ich było niebezpieczne. I baronowa Wimpfen chciała natychmiast odjechać.

Anastazja i Frania pakowały od wczesnego ranka kufry, a baronowa przypatrywała się nerwowo ich robocie i naglila do pospiechu.

Podczas tego nadszedł baron Ogrowskij. Wyglądał pięknie i melancholijnie, był nadzwyczaj elegancki i przyniósł baronowej piękny bukiet.

Przepraszał gorąco też, że przyszedł w tak niestosownej porze, ale sprowadziły go tu niepokój i troska o baronową.

Opowiadał, że się dopiero przed chwilą dowiedział o okropnym zajściu tej nocy i ku największemu przerażeniu swemu słyszał, że i ona nie uszła rudemu potworowi. Nie miał więc spokoju i musiał się na własne oczy przekonać, czy przejście to nie nadwyrężyło zanadto jej zdrowia.

W głosie jego było tyle uczucia, a ciemne jego oczy tak czule patrzyły na baronową, że Lola rozpłakała się i szlochając opowiadała baronowi, że doznała nadzwyczaj okropnego wstrząsu nerwowego i że musi jak najprędzej opuścić ten straszny Mediolan.

Piękny Rosjanin przyjął tę wiadomość z nieopisanym smutkiem i westchnął głęboko. Obrzucił baronowę melancholijnym wzrokiem, ale ona nie zwracała dziś na niego uwagi.

Trzymała bukiet jego w rękach i oglądała kwiaty, ale była roztargniona i zamyślona.

Ogrowskij spostrzegł, że będzie musiał użyć wszelkich środków, aby odwieść baronową od jej postanowienia i gdy się przekonał, że wszystkie drzwi były pozamykane, padł przed nią na kolana i zawołał:

— Idź więc, okrutna! Odchodź stąd i zostaw tu zrozpaczonego! O, czemuś mi ukradła serce, aby je tak niemiłosiernie podeptać!

To była przemowa w sam raz dla baronowej. Zapomniała w okamgnieniu o swej trwodze i oddała się całkiem swej namiętności.

Podniosła więc Ogrowskiego ku sobie, objęła go czule swymi pięknymi ramionami i zaczęła twarz jego okrywać pocałunkami.

— Niemądry — szepnęła z czułym wyrzutem — dlaczego milczałeś tak długo?

On w odpowiedzi obsypał ją tylko gorącymi pocałunkami.

— Więc jedźmy stąd razem — prosiła baronowa, lecz Ogrowskij wywinął się z jej objęć i rzekł poważnie i smętnie:

— A zatem mogę cię posiadać tylko za cenę swojego honoru? Czy nie wiesz, że święta przysięga trzyma mnie w Mediolanie i że go dlatego opuścić nie mogę? Odchodź więc, kochana moja, dla zabepieczenia drogiego swego życia i pomyśl czasem o niepocieszonym kochanku, który tu będzie tęsknił za tobą.

— Nie, nie — odpowiedziała Lola namiętnie — zostanę tu przy tobie, bo miejsce moje jest w twoim sercu i w twoich objęciach. Ty mnie już obronisz. — U boku twojego nie doznam choćby nawet najmniejszej trwogi. Zostanę w Mediolanie, gdyby nawet tysiące zbójów mi groziło.

Piękny Rosjanin objął ją czule i podziękował gorąco za jej odważne postanowienie, gdy się drzwi cicho otworzyły.

Była to Frania, która weszła, meldując hrabiego Brisena.

— Prosić — rzekła Lola.

Brisen wszedł taki wzburzony, że prawie zapomniał się przywitać.

— Co za straszna przygoda — krzyknął. — O, pani baronowo, co pani przebyć musiała. Kto by to pomyślał, że i my tu w „Castel unövo" nie jesteśmy bezpieczni ze swem życiem. Szczęśliwy jestem, że panią widzę zdrową i kwitnącą, i że strach pani nie zaszkodził. Dokąd się pani teraz udaje?

— Nie wyjeżdżam wcale z Mediolanu — rzekła Lola, patrząc wzrokiem, pełnym ognia na barona Ogrowskiego.

— Co? — zawołał hrabia zdziwiony. Czy pani naprawdę chce tu pozostać?

— Nie do uwierzenia. Zdawało mi się, że pani już się pakuje — dodał podejrzliwie.

— Pakuję, bo się chcę przenieść do innego hotelu — rzekła baronowa obojętnie.

Tym razem spostrzegł jednak hrabia Brisen wymowne spojrzenie, które Lola rzuciła na Ogrowskiego i domyślił się powodu jej pozostania. Popatrzył wrogo na swego szczęśliwego rywala, który mu się odwzajemnił szyderczym uśmiechem.

— Słusznie, że chce pan opuścić Mediolan, kochany hrabio — rzekła Lola obojętnie. — Dokąd pan wyjeżdża?

— Chce mnie się pozbyć — pomyślał Brisen zagniewany — abym jej nie przeszkadzał we flircie z tym obrzydliwym, ale tej przysługi jej nie zrobię. Na złość zostanę w Mediolanie i przeprowadzę się nawet do tego samego hotelu, co ona — aby ją miał ciągle na oku.

— Pani baronowa się myli — rzekł uprzejmie— nie miałem wcale zamiaru opuszczenia Mediolanu, myślałem tylko, że pani to zechce uczynić. Czyż pani myśli, że były oficer wojsk austriackich uciekałby przed skrytobójczynią? O, nie!

Baronowa przyjęła chłodno wieść o zostaniu Brisena i rozmowa przeszła na inne tory.

Brisen czuł to bardzo dobrze, że nie jest mile widzianym gościem i że przeszkadza baronowej, mimo to jednak nie

Ciąg dalszy na stronie 437.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

DŁONIE MATCZYNE

Pierwsza podróż dziecięca na niepewnych nogach,
przez wielki świat pokojów — od krzesła do stołu...
Pierwsze nasze odkrycia, radości i trwogi
z nami, Matuś najdroższa, przeżywasz pospołu.

Gdy niedość siły mają nóżki dziecka słabe —
jak rozkosznie jest skryć się w matczynych ramionach!
Gdy mówić zaczynamy — dziwny nasz alfabet,
któż zgadnie? któż zrozumie? Tylko matka.

Ona czy biedna czy bogata — w biurze, w domu, w sklepie
w kuchni, albo w fabrycznym — jakże ciężkim trudzie
tak często myśli o nas. Pragnie, by najlepiej
nam było, żeby wszyscy nas kochali ludzie.

Po latach, kiedy śmiało, młodzieńczo, jak ptaki
ulatujemy z gniazda na nic już nie pomni —
Matka nieśmiało prosi: Piszcie czasem do mnie...
My — nie chcemy czułości — „dzieciństwa oznaki".

Lecz, gdy długo idziemy przez świat pełen zdrady,
przez kłębowisko intryg, zmowy i zazdrości —
coraz częściej powraca w duszy obraz blady,
pół zatarte wspomnienie o tamtej miłości.

Są delikatne, długie, piękne dłonie...
i te inne, zniszczone wśród ciężkiej roboty...
— matczyne ręce. Czy ty tęsknisz do nich? —
Do ich serdecznej — raz jeszcze — pieszczoty?

Więc zanim starość wrota śmierci wskaże,
zanim krzyże nagrobne rozdzielą rodzinę —
serce dziecięce składamy wam w darze:
wam, Dłonie Święte... wam — Dłonie Matczyne.

Witold Januszewski.

APEL, KTÓRY ZAINTERESUJE...

„Bliźniacze daty". „Od dłuższego czasu czytając dział niezmiernie interesujących wynurzeń Czytelników, noszę się z zamiarem zaapelowania na łamach „Krainy" o nawiązanie kontaktu z Czytelniczkami urodzonymi w dniu 30 lipca.

Pobudkami, skłaniającymi mnie do apelu, to chęć wymiany wspólnych myśli i zapatrywań, chęć zapoznania się z poglądami i sposobem ujmowania zasadniczych problemów przez Czytelniczki i Czytelników, urodzonych 30-go lipca. Listy proszę kierować do „Moich Powieści" pod: „Bliźniacze daty".

DLA „BOLUSI"

„Wioślarz" przesyła za pośrednictwem „Krainy" kilka następujących słów „Bolusi":

„Dziękuję za miłe pozdrowienia. Choć nie znam dobrze Pani, a już pod wpływem przesłanych pozdrowień, czuję do Pani sympatię. Proszę, niech Pani zawsze o mnie pamięta i myśli, jak o życzliwej i oddanej osobie. Z niecierpliwością czekam na chwilę rozmowy z Panią".

OBY...

„Bajka". Śliczny i taki szlachetny list Pani odczytałam, pełna radosnych uczuć. Całuję za niego! Oby był głosem decydującym w jeszcze niepewnej sprawie!

Kilka słów dla Sympatyków od „Bajki": „Hallo! „Jaśko", wysyłam do Ciebie pocztówkę. Napisz, czy ją odebrałaś i przyjm ode mnie promienny uśmiech.

„Barciu", Twoje pozdrowienia odwzajemniam gorącymi uściskami. Chętnie nawiążę z Tobą korespondencję, ale napisz, Kochanie, do mnie pierwsza.

Pozdrawiam mile „Jane — góralkę z pod Klimczoka" i „Niestrudzonego Wędrowca", od których pragnęłabym również odebrać parę słów".

ZAPRASZAM JAK NAJSERDECZNIEJ!

„Jasnowłosa Cyra". W odpowiedzi na długi list Pani, zapraszam Panią jak najserdeczniej do redakcji. Może Pani wpadnie kiedyś w niedzielę, gdyż wówczas możemy pogawędzić z sobą dłużej i swobodniej? Czekam na ostateczną decyzję i ślę Pani dużo, dużo pozdrowień!

Nie zapominam również przesłać w imieniu Pani pozdrowień — „Stokrotce", „Hanusieńce I", „Wiejskiemu Chłopcowi" i „Cyganowi", oraz poprosić „Tajemniczą Szatynkę" o liścik.

„NIE CHODZI MI O PUSTE SŁOWA, ALE O PRZYJAŹŃ..."

„Zagłoba — Wielkopolanin". O ile zdjęcie Pana będzie wykonane na błyszczącym papierze względnie będzie bardzo wyraźne — zamieścimy je chętnie. Również chętnie oddaję do przedruku list Pana i serdecznie pozdrawiam.

„Już kilkakrotnie zabierałem się do napisania listu do „Krainy", ale dopiero dzisiaj zdobyłem się na odwagę i pragnę poznać w „Krainie" kogoś naprawdę wartościowego, gdyż nie chodzi mi o puste słowa, ale o przyjaźń, którąby skojarzyła dusze wzajemnym zrozumieniem i życzliwością.

Mimo, iż posiadam wiernych przyjaciół, to jednak odczuwam brak kobiecej duszy, w której leży coś, czemu daje pierwszeństwo.

A teraz coś o sobie:

Jestem brunetem, średniego wzrostu, lat 29, nauczycielem — przyrodnikiem. Dla ułatwienia korespondencji podaję mój adres: poste-restante, Szymbark, pow. Kartuzy, dla „Zagłoby — Wielkopolanina".

Moc pozdrowień zasyłam — „Słodkiej Danusi", „Kujawiance", „Samotnej Sośnie" i „Smunei Steni z pod Grudziądza".

I CÓŻ MI Z TEGO?...

I cóż, że wróciła wiosna cudna promienista,
Że zbudziła ziemię swej świeżości czarem,
Że znów słońca kula złocisto-ognista,
Ogrzewa świat cały życiodajnym żarem.

Cóż, że ogrody pokryły wzorzyste kobierce,
Zaśpiewały ptaki, mkną w dali motyle,
Że raduje się znowu każde ludzkie serce,
Czując wokół siebie szczęścia tyle, tyle...

Rozwinął się jaśmin i liliowe bzy pachnące
I rozchodzi wokół woń upajająca,
Że dzwonią wkrąg dzwoneczki konwalijki drżące
By rozbudzić fiołki z gorąca mdlejące...

Lecz cóż mi z tego, gdy smutne moje serce,
I w moich oczach lśnią srebrzyste łzy,
Skoro moja dusza w bolesnej udręce
Skarży się, płacze i cierpieniem drży...

Nic mi wiosna, ptaki i kwiaty pachnące,
Nic mi ciepło, które wcale mnie nie grzeje,
Kiedy odeszło na zawsze moje jedno słońce,
Kiedy ku mnie zimny, jesienny wiatr wieje.

Helena Karge — Toruń.

„ZMIENIŁAM PSEUDONIM"...

„Irka — Wielkopolanka" komunikuje:

„Drodzy Sympatycy! Od dzisiaj przestaje istnieć w „Krainie" „Stęskniona Irka", gdyż pseudonim ten zlikwidowałam, przybierając nowy — „Irka Wielkopolanka".

Chciałabym nawiązać korespondencję skimś z Kleczewa lub Konina, albo okolic. Czy mogę spodziewać się jakiegoś listu?

„Baśko z pod Koła", zainteresowałam się Panią. Czy wolno mi napisać?

„Kuno Leśna", dla czego nie piszesz?

Dużo pozdrowień ślę „Barci", „Smutnej Irce", „Wesołej Irce z Bydgoszczy", „Jesionowi", „Bolesiowi", „Samotnemu Geniowi", „Małemu Stasiowi" i „Zgodziszowi".

KTO NAUCZY POGODY I RADOŚCI ŻYCIA?

„Smutny Gąsawianin". „Jestem młodym i podobno bardzo przystojnym. Jednak to nie daje mi szczęścia — smutno patrzę w dal i nie widzę weselszego jutra. Może natchnie mnie ktoś lepszą wiarą w przyszłość, nauczy pogody i radości życia? Wszelką korespondencję dla mnie proszę kierować na poste-restante, Gąsawa, pow. Żnin, dla „Smutnego Gąsawianina.

Na zakończenie pozdrawiam — „Stenię ze Żnina", „Jankę z Pelplina", „Boluś", „Niebiedną", „Ar", Wesołe Łobuziaki", „Brunetą z Pałuk", „Romantycznego Śpiewaka" i „Stacha z pod Żnina".

Najpierw zamieściłam apel, a dopiero teraz dziękuję Panu za wyrazy uznania, skierowane pod adresem „Moich Powieści" i moim. Wyrazy te będą dla mnie zachętą do dalszej wydajnej pracy. Łączę szczery uścisk dłoni!

„KTO NIE ZAZNAŁ W ŻYCIU JASNYCH CHWIL — NIECH NAPISZE DO MNIE!"

„Orlicz II". O ile się nie mylę, na list Pani dawałam już odpowiedź w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści". Czekam na potwierdzenie". Tymczasem zaś zamieszczam komunikaty Pani:

„Hallo! „Niestrudzony Wędrowcze"! Chciałabym podyskutować z Panem na tematy życiowe, poruszane przez Pana w „Krainie". Jeżeli starczy Panu na to chęci, proszę napisać do mnie i list skierować na ręce p. Zofii.

„Sierocej doli" milutkie pozdrowienia i uściski! Czy domyślasz się, Kochanie, kto jestem? Pamiętasz Poznań?

„Młodemu Orłowi" pozdrowienia i życzenia dużo przyjemności w podniebnych lotach.

Wszystkim Sympatykom „Krainy" moc pozdrowień i wiosenny uśmiech. Komu źle i smutno, kto nie zaznał w życiu jasnych chwil, niech napisze do mnie".

FOTOGRAFIA DO REPRODUKCJI NIE NADAJE SIĘ

„Lusia". Fotografia milutka, niestety, do reprodukcji nie nadaje się. Może nadeśle mi Pani inną, na błyszczącym papierze? Zamieszczę jak najchętniej!

Czy mogłaby mi Pani donieść, co skłoniło Panią do wyemigrowania aż do Wilna? Interesuje mnie to, więc myślę, że udzieli mi Pani trochę wiadomości.

Dopisek zamieszczam, a resztę oddaję do załatwienia administracji.

„Maruto", wyjechałam! Adres mój: L. M. Wilno, ul. Szeptyckiego 15 — 5. Za życzenia dziękuję.

„Pell", narazie napisać nie mogę, ale gdy znajdę chwilę czasu napiszę.

„Natanowi" przesyłam miłe pozdrowienia. Jestem znowu w Wilnie. Wszystko ułożyło się dobrze z czego jestem bardzo zadowolona. Ładzię ucałuj. Jurek list otrzymał.

„Cyganowi" i „Samotnemu Geniowi" — dziękuję za pozdrowienia. Napiszcie pierwsi, a otrzymacie napewno odpowiedź!"

...ABY KTOŚ NAPISAŁ I PODAŁ PRZYJAZNĄ DŁOŃ!

„Tu — Aldek". Smutny list Pana przeczytałam z wzruszeniem. W odpowiedzi na niego radzę Panu pogodzić się z losem i być dla Matki jak najlepszym synem, aby Jej wynagrodzić bolesną stratę. W życiu nic nie jest wieczne, wszystko przemija, odchodzi, a my, ludzie, musimy przyjmować to jak najbardziej naturalnie. Przesyłam Panu wyrazy współczucia i serdeczności i proszę w imieniu Pana, aby ktoś pogodny i dobry napisał do Pana i podał Mu przyjazną dłoń w bardzo ciężkiej chwili życia.

POZDROWIENIA

„Romantyczny Śpiewak" przesyła: „Czwórce miłych łobuziaków", „Nell — sztubaczce z Bydgoszczy", „Urszulce z pod Grudziądza", „Słodkiej Maruszce", „Samotnej Sośnie", „Duśce", „Młodemu Orłowi", „Ahmedowi el Siwi" i K. Zagórskiemu, Kenia, Afryka — moc serdecznych pozdrowień".

APEL Z WILNA

„Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia wszystkim miłym Czytelniczkom i Czytelnikom. Mam wielką ochotę nawiązać korespondencję z „Krainiakami". W tym celu proszę chętnych o kierowanie listów do mnie na adres: poste — restante, Wilno, dla „Tarzana".

Jestem ciemnym blondynem, wysokim, szczupłym, już po wojsku.

Specjalne pozdrowienia ślę: „Stokrotce", „Tajemniczej Szatynce", „Laleczce" i „Hanusieńce I."

PRZEBACZENIA!!!

„Carmen". Projekt konkursu — wspaniały! Napewno o nim pomyślimy.

Co do treści listu, zdradzonej Wujkowi Januszowi to, — przebaczenia!!! Zresztą Wujek Janusz burczał z najmilszym uśmiechem na ustach, o czym wspomina nawet w swojej odpowiedzi dla Pani.

Serdecznie dziękuję Pani za kochany wstęp listu i mocno ściskam łapięta.

A teraz kolej na komunikaty Pani:

„Lilko", w dniu „Święto Morza", oczekuję Cię napewno w Gdyni. O tym jeszcze pomówimy!

„Przedwiośnie", przesyłam Ci dużo uśmiechów i słońca!

„Lawino", czy nie pochodzisz z Bydgoszczy? Całusy!

„Marku", dla czego brak od Ciebie wiadomości?"

WYOBRAŻENIA ZAWIODŁY!

„Merle". List Pani przyniósł mi naprawdę miłe wiadomości. Cieszę się, że wiosna zastała Panią przy zdrowiu i wlała w serce Pani tyle pogody. Uśmiecham się do Pani, Droga „Merle" i proszę o więcej takich serdecznych, różowych liścików.

Fotografii mojej jeszcze nie było w „Moich Powieściach". Wyobrażenia zawiodły, prawda?

Wkładkę może numerować sobie Pani sama, gdyż to rzeczywiście ułatwi Pani składanie poszczególnych odcinków.

Od „Merle" dla „Krainy":

„Przesyłam uściski i pozdrowienia dla „Czarnobrewej II" i „Simpson" — znam Cię już Filutko! Ślę również milutkie pozdrowienia „Czarnemu Drypsowi" i może Pan ten napisze do mnie?"

„JAK MELODIE MYŚLI ME PŁYNĄ"...

„Chłopiec z Kaszub" i „Romantyczny Cygan" przedstawiają się kolejno Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy":

„Chłopiec z Kujaw" — „Bardzo lubię korespondować, dlatego też apeluję gorąco o szczere listy. Jestem blondynem, średniego wzrostu. Przebywam na posadzie na Kaszubach.

Zapytuję „Zawieruchę" czy otrzymała mój list i do kogo odnosi się odpowiedź zamieszczona w „Krainie" w numerze z dnia 18. 4. br. dla J. L.? Łączę miłe pozdrowienia — J. Ł."

„Romantyczny Cygan" — „Jestem podobno miłym chłopcem i lubię marzyć. Mam lat 27 i pracuję w Zakładach Radiotechnicznych. Tak, jak na falach eteru płyną melodyjne tanga, tak me myśli płyną do Sympatyczek „Krainy". Czy któraś z nich skreśli do mnie kilka miłych i szczerych słów?"

DZIĘKUJĘ!

„Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka". Sprawiła mi Pani radość nadesłanymi pozdrowieniami z Z. Dziękuję i czekam na ten przyobiecany długi liścik.

KAŻDA RZECZ MA SWOJĄ DOBRĄ I ZŁĄ STRONĘ

„Lawrence". Gdybym była sympatyczką „Krainy", napisałabym napewno do p. Zofii taki sam list, jak napisał Pan ostatnio do mnie, a p. Zofia odpowiedziałaby mi podobnie, jak ja Panu odpowiem: w życiu prawie każda rzecz ma swoją dobrą i złą stronę i zwykle trudno, bardzo trudno usunąć odrazu tę złą stronę. Rzuca się ona ustawicznie w oczy i dzięki temu traci na swej sile druga strona — dobra. Tak samo jest i z sprawą, którą porusza Pan w liście. Czuję, że jeszcze upłynie dużo wody, zanim zrobię to, co pragnę i czego domaga się Pan. Trudno bowiem, powtarzam jeszcze raz, stworzyć coś odrazu ,gdy stale zwycięża jedna i ta sama idea, a jeszcze trudniej przekreślić coś w życiu tak, aby to nie wywołało niezadowolenia, zniechęcenia i żalu, a przeciwnie zrozumienie i uznanie.

Serdecznie dziękuję Panu za szczery list, który oczywiście nie minie u mnie bez echa. Proszę również Pana o kontynuowanie dalszej korespondencji ze mną i łączę przyjazny uścisk dłoni.

NATURALNIE!

„Rozśpiewana Izabella". „Zapytuję, czy i mnie przyjmie Pani do „Krainy?..." Naturalnie! Przyjmuję i bardzo dziękuję Pani za nadesłane mi pozdrowienia. W związku z twierdzeniami Pani, dotyczącymi mej osoby, wyjaśniam, że Mira Zimińska nie jest moim sobowtórem — nawet w setnej części. Jak wyglądam? Otóż posiadam... zresztą, najlepiej będzie, gdy wpadnie Pani do Żnina i przekona się o tym sama. Zgoda?

Na zakończenie apel „Rozśpiewanej Izabelli":

„Halo! Czytelniczki i Czytelnicy „Moich Powieści"! Tu mówi mieszkanka pięknych borów tucholskich! Może napiszecie do mnie? Jestem przystojna, muzykalna i zawsze pogodna. Zachwycam się Martą Eggerth. Wychowałam się w Bydgoszczy, po której zostały mi miłe wspomnienia. Moim pragnieniem jest zapoznać się z Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy" drogą korespondencji.

O listy proszę w pierwszym rzędzie „Romantycznego Śpiewaka", „Smutnego Stefa", „Jednego z Kujaw" i „Myśliwego". Z Pań — „Szarotkę — Bydgoszczankę", „Martę", „Tuberozę" i „Carmen".

ODPOWIEDZI NADEJDĄ WKRÓTCE

„Ali — Alu". List wysłałam. Życzę miłej korespondencji! Pozdrawiam i niżej zamieszczam „komunikaty" Pana:

„Tym, którzy przesłali mi listy serdecznie dziękuję i przyrzekam dać wkrótce odpowiedzi.

P. Jance W., „Samotnej Włościance", „Adzie z pod Wolsztyna", P. Irce P. z Szelejewa i „Oryginałowi" — przesyłam moc pozdrowień.

„Pat" i „Patachon"! Może nadeślecie mi trochę z zapasów waszego humoru? Przyjmijcie ode mnie mocny uścisk dłoni i pozdrowienia!"

Teczka Wujka Janusza

MUSIAŁEM...

„Renata". Pisząc „srogą" odpowiedź dla Pani uśmiechałem się szczerze, bo rozbawiła mnie Pani swoimi podejrzeniami. Musiałem jednak udawać zucha, aby moja męska powaga znowu nie ucierpiała i stąd — „bomba"!

Wyciągam jednak dzisiaj do Pani serdecznie dłonie na znak zgody i jeszcze raz wyprowadzam Panią z błędu: nie jestem wcale staruszkiem i będę nim dopiero wtedy, gdy przeżyję jeszcze raz tyle lat, ile obecnie posiadam! Czy otrzymam znowu od Pani parę słów? Bardzo proszę!

BRZOZY

Dróg — pusta nieskończoność —
dal — rozszumiona brzozami
I cisza skwarna południa
nad nami —

I rzędy brzóz pochyłe
zielone gęstwiny półmroku,
Obłoki pachnące wiosną...
błękitem płynące wysokim.

A brzozy szumią... poszmerem,
listkami trzepocą drobnymi
A żal przydrożnym cieniem
kołysze się wraz z nimi...

Biegną naprzeciw wieczoru
pod same słońce gasnące —
I usypiają przy krzyżu,
na miedzy polnej — przy łące...

Któż szept ich najgłębiej zrozumie,
któż płacz ich serdeczny przytłumi —
To nie wiatr się rozśpiewał nad drogą —
to nie ja...
to brzozy tak szumią...

Józef Baranowski.

ZAMIEŚCIĆ NIE MOGĘ

P. A. K. z S. Niestety, zamieścić nie mogę! Ślę dużo miłych pozdrowień!

MOJA KSIĄŻKA

Książko z przed lat minionych,
Pożółkłaś jest i nieco podarta,
Lecz przemawiasz do serca mową chwil
prześnionych —
Twoje wielkie litery, o książko dziecinna,

Obrazki twe piękne przeze mnie barwione,
I treść twoich bajek — słodka i niewinna
Mają we mnie miejsce na wieki zapewnione.
Patrzę na cię, o książko z ukojeniem błogiem

Otwarłszy po wielu latach twe zstrzępione
karty,
— One mi były życia mego progiem,
Przez nie świat cudny ujrzałem otwarty.

Dzisiaj, aby pojąć twoją treść wspaniałą,
By cię nie obrazić mędrkowstwem bezecnym
— Dzisiaj chcę wrócić mą młodość
przebrzmiałą
I, na chwilę chociaż, małem stać się
dzieckiem.
O książko niezapomniana, najcudniejsza
w świecie!

Precz wszystkie „dzieła" od siebie odrzucę
Dziś mi ich mądrość niepotrzebna przecie,
Gdy ku tobie — z czcią, jako dziecko wrócę.

Kazimierz Król.

Raj kobiet



Matka

Na świecie, na całym szerokim świecie, jest jeden wyraz ,który zawsze, w każdej epoce wieczne i największe budzi uczucia w potężnej, niezmienionej skali. To — Matka. Bez względu na swoiste, podobne zresztą brzmienie — polska „matka“, włoskie „mamma“, francuskie „maman“, niemieckie „mutter“ czy angielskie „mother“... — wszędzie w każdym kraju najsłodszym są wyrazem o żywej i nieśmiertelnej treści.

Matka! Jakże różnie, z różnym akcentem wymawiamy to słowo drogie, podlegając wpływom przemijającego czasu, wieku i bieżących wypływających stąd zainteresowań: czasem twardo, może nawet z lekceważeniem (później bolesnem!) ale zawsze na podstawie ufności i niezachwianego zaufania! Dla dziecka, młodzieńca i człowieka dojrzałego matka jest wszystkiem. Dziecku słodką swą, zawsze najpiękniejszą twarzą i sercem przysłania cały świat, dla dorastających niestrudzoną jest opiekunką zapracowującą się bez miary i często, ach — jakże często, odbierającą niewdzięczność i niezrozumienie, wreszcie ,dojrzały już człowiek, borykający się z zalewającą go falą trosk w matce największą, jedyną i zawsze wierną znajduje miłość, do niej ucieka od życia i złości ludzkiej, ona to często podtrzymuje go jedynie przy życiu.

Nie można wymierzać cyrklem, czy centymetrem roli ani wartości ojca i matki, — kogo z nich więcej kochamy. Pewne jest jednak, że tylko matka przewodzi pierwszym najważniejszym okresom w życiu dziecka, że więc w matce wyrażać się musi i się wyraża z największą siłą — uczucie miłości. Nie szkoła, nie państwo lub jakiekolwiek organizacje, lecz matki wychowują naród i taka też będzie nasza przyszłość, jakie mamy rodziny, jakie mamy matki!

J. C. L.

DOBRA GOSPODYNI

Szczaw jako jarzyna. Miskę młodego szczawiu obrać z szypułek, opłókać, zalać wrzącą wodą, a odcedziwszy przelać kilka razy zimną wodą, aby pozostał ładny, zielony kolor. Potem liście posiekać, przefasować je przez sito, włożyć do zaprażki z łyżki masła i mąki, którą rozprowadzić ćwiercią litra kwaśnej śmietany, posolić, dodać cukru do smaku i dusić aż zgęstnieje. Przed wydaniem podprawić go dwoma lub trzema żółtkami i podać jako jarzynę, obłożony jajkami na twardo lub do mięsa, cielęciny, kotletów etc.

Szpinak ze śmietanką. Poobierane z szypułek liście szpinaku opłókać czysto, wrzucić do gotującej osolonej wody, zagotować przez 5 minut, odcedzić i kilkakrotnie przelać zimną wodą. Gdy szpinak ocieknie już z wody, posiekać go, przefasować przez gęste sito i włożyć do rondla, w którym zasmażyć na biało łyżkę masła z łyżką mąki i rozprowadzić pół szklanką słodkiej śmietanki. W ostateczności może być i mleko. Dodać trochę curku do smaku i poddusić jeszcze szpinak, aż się dobrze wysadzi. Podać do kotletów, cielęciny lub jako jarzynę, obłożony grzankami, omletem lub jajami sadzonymi na maśle.

Szparagi po holendersku. Każdą łodygę szparagową należy ostrożnie od góry oskrobać, a niżej ostrugać trzymając nóż płasko, po czym wrzucić je do zimnei wody, aby nie zczerniały. Po wypłókaniu powiązać bawełną w małe pęczki, włożyć do płaskiego rondla lub wanienki. do gotującej wody, zagotować szybko, wodę odlać i powtórnie zalać gorącą. W ten sposób nigdy nie będą gorzkie. Do gotowania dodać na kopę szparagów dwie łyżki cukru i jedną łyżkę soli; gotować dobre pół godziny. Gdy już miękkie i ustępują pod naciśnięciem palca wyjąć je na sito, rozwiązać, ułożyć na półmisku łebkami na stół z sosem holenderskim w sosjerce.

Sos holenderski przyrządza się w następujący sposób: Rozetrzeć na pianę dwie łyżki masła z 5 żółtkami. Zagotować pół szklanki wina białego z pół szklanką rosołu, wcisnąć sok z pół cytryny, dać trochę białego pieprzu i gałki muszkatułowej, postawić w drugi rondelek z gotującą wodą, kłaść po trochu masło z żółtkami i dobrze ubijać, aż wszystko wyjdzie, a sos zbieleje i zgęstnieje, uważając jednak, by się nie zagotowało. Na zakończenie dodać trochę cukru i podać na stół.

RZECZY CIEKAWE

Hałas jest mordercą myśli

Już sławny myśliciel Szopenhauer powiedział, że hałas jest mordercą myśli. Uczeni dowiedli że hałas powoduje rozmaite defekty psychiczne i fizjologiczne uzewnętrzniające się w zmniejszonei uwadze, bezsenności itp.

Defekty te zmniejszają przede wszystkim wydatność pracy ludzkiej. W przedsiębiorstwach w których panuje hałas wzrasta ilość nieszczęśliwych wypadków maleje natomiast ochota do pracy i zdolność skupienia myśli u pracowników umysłowych. Podczas zaś pracy fizycznej hałas pobudza do większego natężenia. Stenotypistki np. chcąc stłumić hałas muszą uderzać silniej w maszynę. To większe natężenie nerwowe wywołuje szybsze zmęczenie i prowadzi w końcu do neurastenii.

Ciekawe są badania nad wpływem hałasu na pracę stenotypistki. Spadek hałasu o 15 proc. powodował wzrost wydajności pracy o 5 proc. oraz 25 proc. spadek zużycia energii. Wynika stąd, że nawet nieznaczny spadek hałasu już wystarczy, aby podwyższyć wydajność pracy.

Oprócz stuku maszyn do pisania przeszkadza urzędnikom biurowym w pracy również hałas wdzierający się przez okno z ulicy. To też ważną rzeczą jest czy okna dobrze się zamykają i jak są skonstruowane.

Technika niewątpliwie wynajdzie i już wynalazła wiele sposobów na zwalczanie hałasu. Dużo jednakże zależy i od samych pracowników, których obowiązywać powinna pewnego rodzaju etyka hałasowania.

Kto miał pierwszy cylinder na głowie?

Lord Major Londynu (burmistrz) miał w 1797 r. ciężki orzech do zgryzienia. Królewska policja zaaresztowała na ulicy Jamesa Hatherington, handlarza ulicznego który pojawił się w niezwykłym, naturalnie jak na owe czasy, nakryciu głowy, a mianowicie w cylindrze. Był on, jeden z pierwszych, który pojawił się publicznie w cylindrze. Protokół policyjny oskarżał go, że zjawił się na ulicy w wysokim instrumencie o połyskującej barwie, obliczonym na to, ażeby spokojnych ludzi straszyć, aresztowany podaje, że ma być to rzekomo jedwabny kapelusz". Instrument ten, policja przedłożyła jako corpus delicti.

Rozprawa przed Lordem Majorem stwierdziła, że cały szereg kobiet na ten niezwykły widok zemdlało, dzieci wrzeszczały, psy szczekały i wyły, a najmłodszy syn handlarza skór Thomasa, wybiegając od mydlarza z kupioną świecą, ze strachu upadł i złamał rękę, stratowany przez uciekający tłum. Oskarżony bronił się, że wolno mu chodzić w takiem nakryciu głowy, jakie uzna za potrzebne, ponieważ żadne prawo nie czyni żadnych przeszkód w tym kierunku. Jako przykład podał, że wynalazcę parasola, gdy się po raz pierwszy zjawił na rynku prawie, że ukamieniowano. On jednak ze swoich praw nie zrezygnuje, gdyby miał nawet bardzo ciężkie konsekwencje ponosić. Wywody te nie pomogły. Hatherington został zasądzony spowodu „złamania spokoju i podżegnywania do zaburzeń" na karę 500 funtów (funt dziś 26 zł) gwarancji, że więcej nigdy nie pojawi się w cylindrze na ulicy. — Hatherington, nie chcąc stracić 500 funtów, więcej w cylindrze się nie pokazał, ale nabrawszy przykrego doświadczenia, dożył tej chwili, że już następny wiek — został wiekiem cylindra.

Praca zegara w liczbach

Słuchając bicia zegara, nie zastanawiamy się nawet nad tem, jaką on pracę wykonuje, a to praca niebyle jaka. Co kwadrans duży zegar bije raz, co pół godziny dwa, co trzy kwadranse — trzy, co godzinę — cztery razy, czyli naogół w ciągu godziny dziesięć razy zegar uderza, to znaczy w ciągu doby dwieście czterdzieści razy. Pełnych godzin bije pięćdziesiąt sześć, a więc razem trzysta dziewięćdziesiąt sześć na dobę, czyli sto czterdzieści cztery tysiące pięćset czterdzieści na rok. Jedno uderzenie trwa dwie sekundy, więc na uderzenie 144.540 razy trzeba 289.080 sekund, to znaczy 80 godzin 18 minut, lub trzy dni 8 godzin 18 minut. U zegara o średnicy półtora metra wskazówka wielka musi przebyć w ciągu godziny drogę długości 4 i pół mtr. Liczba obrotów wynosi w r. 365 razy 244 godzin na dobę tj. 8.760.

Ze świata

Materia jest niezniszczalna

Angielski przemysł korzysta w dużej mierze z pozornie bezwartościowych już odpadków, które po przerobieniu znów stają się wartościowymi artykułami handlu.

Tak np. — jak pisze londyński „Daily Telegraph" — jedna z firm londyńskich nabyła w 1935 roku 14.470 ton odpadków rybich, które przerobiła na tran, pokarm dla ptactwa domowego i nawozy sztuczne.

Fabryka przerabiająca szmaty, zatrudnia 300 pracowników przerabiających rocznie 15.000 ton szmat wartości 300.000 ft. szt. dla przemysłu papierniczego.

Najbardziej nawet zużyte odpadki wełniane są znów przerabiane na materiały wełniane. Bez tego przemysłu wyroby z wełny byłyby niedostępne dla uboższej ludności.

Inna znów firma londyńska nabywa rocznie 104.000 starych butelek, a poza tym przerabia 25.000 ton odpadków papierowych, z kórych przy przeróbce zaledwie 660 ton nie przedstawia już żadnej wartości.

Telefony szwedzkie konkurują z P.I.M.em

Ciekawą inowację wprowadziło ostatnio Towarzystwo Telefonów w Sztokholmie. Liczne rzesze abonentów telefonicznych domagały się ułatwienia w zasięganiu informacyj o stanie pogody. Szwedzkie Towarzystwo Telefonów na życzenie swych klientów zainstalowało w centrali „służbę meteorologiczną" która udziela informacyj za wywołaniem odpowiedniego numeru telefonu. Telefoniczny „Pim" zainstalowany został na wzór „zegarynki" i cieszy się olbrzymiem powodzeniem. Informacji udziela głos kobiecy, to też mieszkańcy Sztokholmu nadali nowemu urządzeniu nazwę „Panna Pogoda". W ciągu pierwszych 10 dni działalności „Panna Pogoda" udzieliła 12.400 odpowiedzi dziennie.

Skarb w kopalni żwiru

Na wyspie Gotland należącej do Szwecji kilku chłopców bawiło się w pobliżu kopalni żwiru. Nagle pod jednym z chłopców, który stanął nad brzegiem rowu z którego żwir dobywano, usunęła się ziemia, stoczył się więc do rowu, za nim zaś potoczyła się lawina żwiru i srebrnych monet.

Jak się okazało, przypadkowe poślizgnięcie się chłopca ujawniło zakopany w żwirze największy skarb monet srebrnych ze znalezionych kiedyś w Szwecji, naliczono 3.000 tych monet średniowiecznych i wcześniejszych ważących razem około 8 kg. Co ciekawsze, większość ich stanowiły monety arabskie, co dowodzi jak rozległe stosunki handlowe miała Szwecja w owych czasach i jak daleko na północ sięgały wpływy arabskie.

LECH TADEUSZ TRAFANKOWSKI.

Podwójne szczęście

(NOWELA).

W maleńkim pokoiku oświetlonym lampą naftową, siedział z ołówkiem w ręku pochylony nad jakimś rysunkiem, młody architekt Jerzy Benski.

Pracował zapamiętale raz po raz tylko spoglądając na zegarek, a szczupła jego ręka pewnymi ruchami kreśliła różne linie, to znów je mazała.

Jerzy Benski pracował nad planem wielkiej bazyliki która miała wkrótce stanąć w jednym z większych miast Polski.

Na wykonanie tego planu, ogłoszony był konkurs, a Benski, mając zdolności, postanowił próbować szczęścia.

Nie wiodło mu się w życiu specjalnie. Od czasu do czasu, tylko otrzymywał, małe zamówienia, co w rezultacie starczyło mu tylko na skromne utrzymanie.

Odrzucił wreszcie ołówek i powstał.

— Już czas — pomyślał.

Ubrał się szybko i skierował swe kroki do małej kawiarenki położonej opodal, gdzie usiadłszy blisko drzwi, począł bez specjalnego zainteresowania przeglądać gazetę.

Od czasu do czasu rzucał niecierpliwe spojrzenia na drzwi wejściowe, jakby kogoś oczekując.

Po upływie kilku minut, ukazała się w nich przystojna i elegancka szatynka. Do niej to podbiegł Benski po czym razem usiedli przy jego stoliku.

— Nareszcie jesteś Hanuś! — rzekł Jerzy.

— Tak przyszłam Ci powiedzieć, że wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz? — spytał ze zdziwieniem — a co będzie z naszym ślubem?

— Wiesz, po zastanowieniu się, doszłam do przekonania, że nie możemy jeszcze o tym myśleć. Odłożymy to do przyszłego roku, gdy wrócę to pomówimy! — odparła narzeczona Jerzego, Hanna Wyrwińska.

I to mówiła jego Haneczka, ta która go tak zapewniała o swej miłości i że go nigdy nie opuści, sama zaś również będąc za przyspieszeniem daty ślubu. Jerzy był zdumiony!

Próbował jeszcze.

— Hanuś zastanów się!

— Trudno. Już się zastanowiłam. Tak będzie lepiej. Jak wrócę to pomówimy. Może już wtenczas będziesz żonaty... dokończyła, a ironiczny uśmiech wykrzywił jej ładne usteczka.

— No na mnie już czas! — rzekła podając leniwym ruchem Jerzemu na pożegnanie swą wypielęgnowaną rączkę.

— Dowidzenia! — odparł prawie niedostrzegalnym ruchem warg.

Chwilę siedział w głębokim zamyśleniu.

— Skończyło się wszystko — pomyślał. Haneczka, jego bóstwo, odeszła i nigdy... nie wróci. Nie wierzył bowiem, by się inaczej stało.

Zerwał się nagle z krzesła, uregulował rachunek i pobiegł do domu, gdzie rzucił się na łóżko.

Po upływie kilkunastu minut podniósł się i przeszedł się zwolna po pokoju. Wtem wzrok jego padł na niewykończony rysunek. Nagłym ruchem porwał go i począł z pasją drzeć w drobne kawałki przy czym twarz jego nabrała dzikiego wyrazu.

Po chwili sięgnął po nowy arkusz i począł na nowo rysować. Rysował z wielką zapalczywością. Na planie ukazywały się szybko coraz to wyraźniejsze kontury przyszłej bazyliki.

Blady świt, wpadający przez okno, zastał go jeszcze przy pracy. Główne rysy planu były już gotowe. Pozostało tylko jeszcze zrobienie obliczeń technicznych.

Benski pracował dniami i nocami przy wykończeniu planu.

Nadszedł wreszcie dzień zamknięcia konkursu.

Oddał ostatni swe plany.

Czekał z utęsknieniem na wynik konkursu. O Hance nie myślał. Pamięć o niegodnej jego miłości, powoli zacierała się w jego sercu.

Pewnego dnia, gdy przyszedł do domu, zobaczył na stole list. Na kopercie przeczytał: Centralny Komitet Budowy Bazyliki... Nie czytał dalej. Drżącymi rękoma rozerwał kopertę. Wyjął z niej duży arkusz papieru, zapisany pismem maszynowym. Przeczytał:

„Komunikujemy Panu uprzejmie, że w związku z nadesłanym przez Pana projektem na mającą się budować bazylikę, ogłoszenie konkursu wraz z rozdaniem nagród odbędzie się dnia"... itd.

— A więc jutro, jeszcze jeden dzień męki! — pomyślał.

W wielkiej sali Akademii Sztuki, licznie zebrana publiczność z sfer artystycznych, czekała z napięciem ogłoszenia wyników.

Jerzy Benski usiadł w ostatnich rzędach.

Na podium wszedł prezes Komitetu Budowy Bazyliki dr. Sodzyński i wśród grobowej ciszy, jaka zapanowała na sali i ogólnego napięcia, odezwał się:

— Komitet Budowy Bazyliki po rozpatrzeniu nadesłanych projektów postanowił przyznać pierwszą nagrodę za najlepszą pracę w sumie dziesięciu tysięcy złotych Panu Jerzemu Benskiemu!

Po sali przebiegł głośny szmer. Benski? Kto to taki?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na młodego architekta, który szedł w kierunku podium.

Szedł dumny i spokojny. Stanął przed prezydium komitetu. Do niego to podszedł prezes dr. Sodzyński wręczając mu pierwszą nagrodę w postaci czeku.

Podziękował i gdy już miał schodzić, zobaczył w pierwszym rzędzie krzeseł cudną o jasnych jak słońce włosach kobietę. Serce zabiło mu żywiej.

Nieznajoma patrzała na niego. Na chwilę spojrzenia ich skrzyżowały się. Widać, że była zaskoczona tym, bo twarz jej pokryła się lekkim rumieńcem.

Usiadł na swoim miejscu i trzymając jeszcze w ręce czek, myślał o nieznajomej. Nie słyszał oklasków, nie widział spojrzeń skierowanych na siebie.

— — — — — — —

Wkrótce potem powierzono Jerzemu Benskiemu wykonanie projektu ambasady w Londynie. Dla omówienia bliższych szczegółów, został Benski zaproszony na konferencję do dr. Sodzyńskiego.

Po konferencji, ku największemu swemu zdziwieniu, został zatrzymany i zaproszony na obiad.

Rozmawiając przy obiedzie z dr. Sodzyńskim usłyszał za sobą szelest otwieranych drzwi i ciche kroki.

Dr. Sodzyński wstając z miejsca zwrócił się do podchodzącej osoby:

— Doniu, przedstawiam ci Pana Benskiego!

Benski zerwał się z miejsca i... znieruchomiał. Przed nim stała owa piękna nieznajoma.

— — — — — — —

Niedługo potem w gazetach ukazały się notatki tej treści:

„Laureat ostatniego architektonicznego konkursu, p. Jerzy Benski, zawarł dziś związek małżeński z córką znanego w naszym mieście działacza społecznego dr. Sodzyńskiego — Donią Sodzyńską.

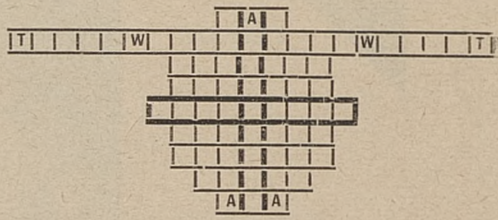
W podróż poślubną, państwo młodzi udali się do Londynu, gdzie na miejscu wykona p. Jerzy Benski projekt budowy ambasady".

KONIEC.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf pseudonimowy

ul. Anna Dorożyńska — Chrośna



W rzędach poziomych poumieszczać pseudonimy z „Krainy szczerości i naszych trosk" — tak, aby oznaczone rzędy: pionowy i poziomy — dały jeden i ten sam pseudonim.

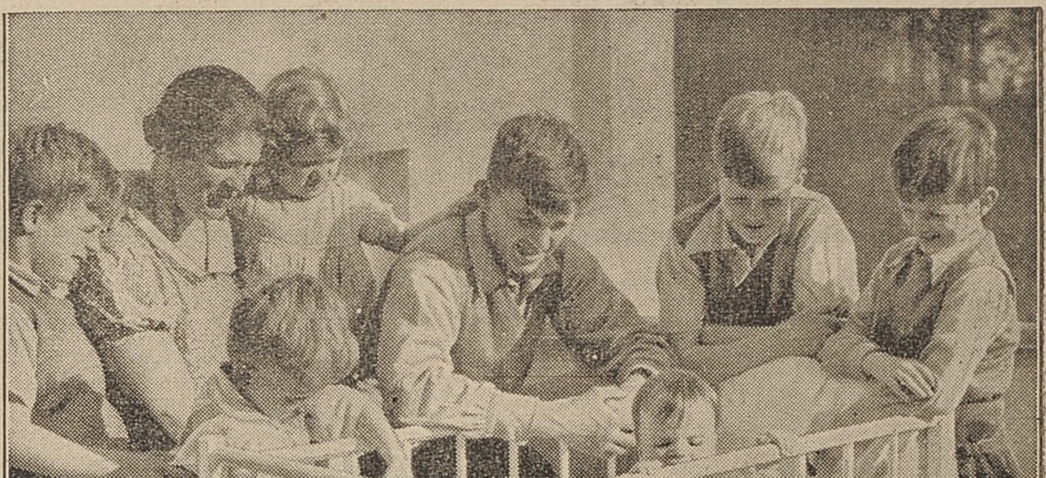
Za prawidłowe rozwiązanie logogryfu autor wyznacza nagrodę w postaci „tajemniczej wizytówki".

Rozwiązania należy nadsyłać do redakcji „Moich Powieści" do dnia 4 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 20 „Moich Powieści": Konikówka: „Próżno się ten siłą i męstwem przechwala, kto złym rządzom nad sobą panować pozwala". Rebusiki: 1) Zapora. 2) Zamiary. 3) Okopy. 4) Podnieta.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Ewald Odrozek — Radlin, „Wacusiewicz", C. Switalska — Żnin, Anna Zapłatówna — Grudziądz, Jola Włodarczakówna — Poznań, Emil Jańczak — Konin, Julian Okęcki — Wilno, Kazimiera Walczakówna — Sierpce, Dorożyńska Anna — Chrośna.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Joli Włodarczakównie z Poznania i Emilowi Jańczakowi z Konina.



Szczęśliwa rodzina...

odszedł, nim się nie dowiedział, dokąd Lola przeprowadza się.

Wróciwszy do siebie, dał kamerdynerowi rozkaz, aby przeniósł jego rzeczy do hotelu „Re d'Italia" i mieszkał już tam, gdy baronową von Wimpfen sprowadziła się.

Szczęśliwy traf chciał, aby pokoje baronowej w nowym hotelu leżały tuż obok jego apartamentów. Przez cieńkie ściany mógł Brisen słyszeć każde słowo głośno wymówione w salonie Loli, a że był zazdrosny, postanowił więc podsłuchiwać przez całe popołudzie.

Wkrótce usłyszał też głos Ogrowskiego i twardą jego niemczyznę w salonie baronowej. Czuła para nie miała widocznie pojęcia o zdradliwym sąsiedztwie i bawiła się najswobodniej. Wymieniali czułe zapewnienia niezmiennej miłości. Baronowa przechwalała się swoją odwagą pozostania w Medjolanie, mimo niebezpieczeństwa.

— Ale będę już ostrożniejszą — dodała z powagą i zaraz jutro zdeponuję swoje brylanty w banku, bo to jest jedyne, coby tę zbrodniarkę mogło nęcić, a wówczas będę bezpieczną.

— To jest bardzo mądra myśl — chwalił baron Ogrowskij. — Będę teraz o wiele spokojniejszym o ciebie, moja droga.

Potem znów się całowali i pieścili, gawędząc wesoło, a Brisen przysłuchiwał się temu wszystkiemu w dzikiej złości.

Wreszcie dobrze już po północy usłyszał zazdrosny hrabia, ciche kroki na korytarzu i głos baronowej, która mówiła do Ogrowskiego:

— Zorientowałam się już dobrze, tu są schody dla służby. Jak zejdziesz tędy, to cię nikt nie spostrzeże. Będziesz więc teraz mógł tak długo u mnie być, jak długo zechcesz.

Pocałowali się raz jeszcze na pożegnanie.

Brisen usłyszał znowu, jak baronowa zamykała drzwi swoje, potem zapanowała głęboką cisza. Nie było nic więcej do podsłuchiwania. Tym, co słyszał dotychczas, był hrabia jednak tak poirytowany, że nie mógł się położyć, tylko przechadzał się tam i napowrót po pokojach, które z ostrożności nie oświecał.

Podczas gdy Brisen znosił męki zazdrości, znajdowała się Lola w stanie sennego szczęścia. Najgorętsze jej życzenie spełniło się:

Baron Ogrowskij oświadczył się jej ze swą miłością, jego ramiona obejmowały ją czule, a jego usta całowały ją namiętnie.

Czuła jeszcze żar jego pieszczot, oddech jego muskający jej policzki i zdawało się jej ,że słyszy jeszcze drżący jego głos.

Położyła się do łóżka bez wszelkiej pomocy, bo Anastazję i Franię dawno już z pokojów wysłała, aby jej nie przeszkadzały i podsłuchiwały.

Zasnęła też po chwili z błogim uśmiechem, bez usypiającej lektury swej towarzyszki.

Została jednak srogo zbudzoną z pierwszego i tak błogiego snu. — Podskoczyła przerażona i zobaczyła przed



Z okazji uroczystości koronacyjnych w Londynie, poczta angielska wydała powyższe znaczki.

sobą znowu tę samą okropną postać rudej zbrodniarki.

Miała ona w jednej ręce ślepą latarkę, a w drugiej połyskiwał ostry sztylet. Błyszczącym wzrokiem spoglądała na swoją ofiarę i w końcu rzekła grobowym głosem po włosku:

— Kobieto, gdzie jest twój soliter? Powiedz, albo zginiesz.

Kilka powyciąganych szuflad wskazywało, że niebezpieczna włamywaczka przedtem już szukała za tym klejnotem.

Baronowa była przez chwilę jak gdyby sparaliżowana, poruszała bezustannie ustami, ale nie mogła wymówić słowa.

Ale wampir ten podniósł sztylet i powtórzył rozkazująco pytanie.

— Mów, albo zginiesz!

— W drugiej szufladce od toaletki po lewej stronie — szepnęła Lola.

Zbrodniarka spojrzała na nią nieufnie, potem rzekła groźnym głosem:

— Jak tylko piśniesz, to jesteś zgubioną!

To mówiąc, podeszła dużym krokiem do toalety, aby poszukać klejnotu.

Ledwie straszna ta kobieta odeszła kilka kroków, baronowa odzyskała dawną swą energię, podniosła się cicho z łóżka, złapała leżący obok haczyk od ognia, jako broń, i zaczęła krzyczeć głośnym i donośnym głosem o pomoc.

Gniewnie odwróciła się zbrodniarka. Rzuciła się ze sztyletem w ręku na swą ofiarę i syknęła dzikim głosem:

— To był twój wyrok śmierci, nierozsądna!

Ale Lola była zręczniejszą przeciwniczką, niż ona się spodziewała, uderzyła włamywaczkę ostrym końcem tak, że sztylet jej wypadł z ręki.

Rozpoczęła się między nimi walka, w ciągu której baronowa wciąż krzyczała. Była już prawie całkiem wyczerpana, gdy nadbiegł przerażony Brisen i zręcznym pchnięciem sztyletu w ramię, zranił zbrodniarkę i uczynił ją niezdolną do dalszej walki.

Podczas tych zapasów spadła tej strasznej kobiecie peruka, z pod której widać było krótkie, czarne, kędzierzawe włosy.

Wiedziony przeczuciem ,spróbował Brisen ściągnąć jej jeszcze pomarszczoną skórę, przypuszczalną maskę pokonanej tym razem zbrodniarki i w zupełności udało mu się.

Z pod maski tej ukazały się piękne, lecz obecnie wściekłością zeszpecone rysy rosyjskiego magnata, barona Ogrowskiego.

Zobaczywszy go Lola, wydała przeraźliwy okrzyk i padła zemdlona na podłogę.

— Ona była moją metresą — rzekł Rosjanin z nieopisaną pogardą. — Pozostanie jej to pewnie na długo w pamięci.

Jeszcze przed zdemaskowaniem Ogrowskiego zbiegł się tłum ludzi do pokoju baronowej, który uniemożliwił zbrodniarzowi ucieczkę. Nagle zerwał się Ogrowskij, przepchał się przez tłum i wyskoczył przez okno na ulicę.

Trwało to zaledwie kilka sekund. Okrzyk zdziwienia wyrwał się z piersi tłumu, po tym rzucili się wszyscy w pogoń za Rosjaninem.

Znaleziono go martwego — skok przez okno nie udał mu się.

Tak pozbył się świat okropnego zbrodniarza, potwora w postaci ludzkiej.

Gdy policja medjolańska przeszukała mieszkanie tak zwanego barona Ogrowskiego, przekonała się, że ten piękny Rosjanin był wampirem medjolańskim.

Znalezione trzy olbrzymie kufry, pełne garderoby. Ale każdy z tych kufrów miał podwójne dno, pod którym znajdowały się skarby, skradzione tu w ostatnim czasie, a mianowicie: portfel zamordowanego kupca, spadek baronowej Frangipani, jeszcze w tej samej kopercie z jej adresem, papiery wartościowe hrabiego Bisteli, kosztowne klejnoty jego córki, biżuterie zamordowanej pani Dufour.

Jednem słowem, znalazło się wszystko, prócz kosztownej broszki hrabianki Bisteli, którą między jego rzeczami policja medjolańska w żaden sposób odszukać nie mogła.

Oprócz tych kosztowności znajdowały się w kufrach zbrodniarza jeszcze rozmaite papiery legitymacyjne, które były po części sfałszowane, po części prawdziwe, lecz skradzione.

Dalsze śledztwa wykazały, że rzekomy baron Ogrowski był właściwie pomocnikiem fryzjerskim z Paryża i nazywał się Jules Lepetit.

Odbył on już w najwcześniejszej młodości swojej karę na galerach i od tego też czasu upadał ciągle niżej.

Pod rozmaitemi nazwiskami i w ciągle zmieniających się rolach popełnił on niezliczoną ilość okropnych zbrodni we Francji, Niemczech i w Ameryce.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM CZEKALSKI

11)

Sen o zemście

Ogromnie zdumiony takim obrotem sprawy, pan Jan podziękował księciu za łaskawość, obiecując, iż owszem, nie omieszka skorzystać z zaproszenia.

Znalazłszy się w zdobytej izbie, starosta rozgościł się w niej, ale Sulimy od siebie nie puścił.

— Zostaniesz ze mną, Sulima — mówił — licho nie śpi. Są dwa łoża, możesz jedno zająć dla siebie. Przy tym zdałoby się dwóch - trzech ludzi w tej komnacie ulokować dla własnego naszego bezpieczeństwa.

— Damy sobie radę sami, wasza miłość — odrzekł oficer, — ale doprawdy godnym jest zastanowienia ów postępek księcia kanclerza.

— Wielcy panowie miewają różne fanaberie — nigdy nie wiesz, co takiemu do łba strzeli: niby to dobry i łagodny, że jeno do rany go przyłóż, a tylko patrzeć, jak cię kordem pod ziobro pomaca.

— Czy wasza miłość rzeczywiście tam do niego pójdziesz?

— A czemużby nie? Przecie mnie nie zje, bo i nie dałbym mu się, ani podstępem nie zamorduje, chociaż... gdyby mnie tak sprzątnięto, kanclerz pewnie suszyłby wszystkie piątki do końca swego życia na tę intencję.

— Nie zawadzi wziąć kord pod suknię i w krucicę się zaopatrzyć. Jeśli zajdzie potrzeba — palić w łeb pankowi, a ja tu, z resztą moich ludzi, dam radę sługom kanclerskim.

— Pewnie do tego nie dojdzie, chociaż zachodzę w głowę, co on ma w tym wszystkim za cel?

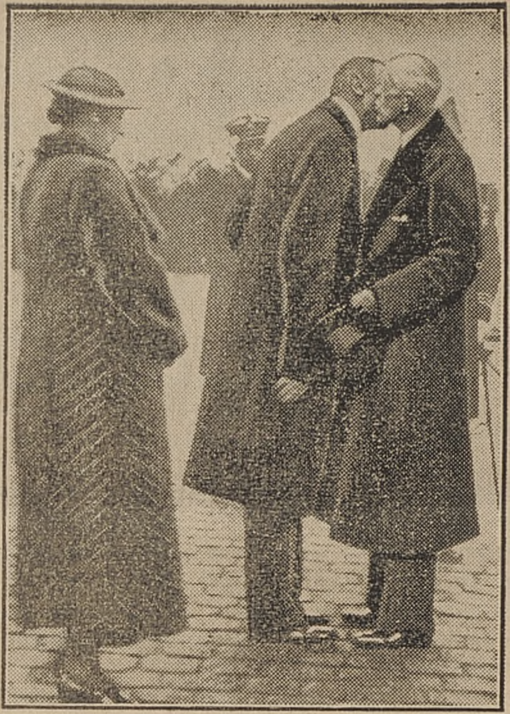
— Pewnie myśli skaptować waszą miłość do swego obozu, bo to już głośno mówią, jakoby Familia pragnęła osadzić na tronie warszawskim pana stolnika litewskiego.

— Pragnąć, to ona może, ale czy jej się to uda, to druga rzecz. Bo chociaż tam pan stolnik litewski z carycą moskiewską jest zwąchany i pomoc ona mu obiecuje, przecież i caryca nie zdoła na tronie go osadzić, gdy szlachta nie zechce. A sprawiedliwszą wszakże rzeczą byłoby widzieć na tronie naszego księcia, który jest pan z panów i w rodzie swoim ma głowy koronowane, niż jakiegoś tam stolnika litewskiego, który nie wiedzieć czy do pradziadka przodków wyliczył.

To rzekłszy, pan starosta wciąż w głowę zachodząc, coby kanclerz od niego chciał, posilał się w towarzystwie Sulimy. Poczem wstał, ręce obmył, krótki sztylet pod frak wsadził, krucicę ukrył w kieszeni i poszedł do księcia kanclerza.

Książę Michał, siedząc, zabawiał się czytaniem nowinek w gazecie francuskiej, gdy wszedł pan Jan.

— Bardzo to grzecznie ze strony waszmości — powitał go z uśmiechem na wąskich wargach — iżeś nie zapomniał mnie odwiedzić, mon cherciu. Napijemy się czegoś przed snem i pogawędzimy.



Król Danii Christian X obchodził w ostatnich dniach 25-letni jubileusz panowania. Z okazji tej uroczystości przybył do Danii król Gustaw szwedzki. Zdjęcie nasze przedstawia powitanie obu królów.

Po chwili zjawił się pokojowiec z omszałą butelczyną i dwiema szklenicami. Kanclerz nalał, przypili i chwilę trwało milczenie. Poczem książę odezwał się smutnym głosem:

— Niezgoda, jaka nas rozrywa, wywołuje radość w naszych nieprzyjaciołach — uderzył z lekka w leżącą przed nim gazetę. — Czasby już zabliźnić rany, złagodzić nienawiści...

— Propozycje od tych wyjść winny, który są przyczyną owych waśni — rzucił butnie Ciechanowiecki.

— Wszyscyśmy tu winni po trosze, mon cherciu, wszyscy — zauważył melancholicznie kanclerz. — Wszyscyśmy jeno ludzie, więc ułomni, więc grzeszni. Nie masz doskonałości na tym pięknym świecie. Bo, gdy bylibyśmy doskonałymi, moglibyśmy śmiało stanąć w rzędzie aniołów.

— Lecz są więcej i mniej winni, wasza ks. mość.

— Pewnie, pewnie, mon cherciu... — powtórzył w zamyśleniu książę.

— A ci, co więcej winni, pierwsi powinni w pierś się uderzyć, błędy swoje a grzechy wyznać.

— Pewnie, pewnie, mon cherciu... — powtórzył tym samym tonem książę.

— Bo zaliż można wymagać od pokrzywdzonego, aby poszedł do krzywdziciela i rzekł mu: oto skrzywdziłeś mnie, ale ja przychodzę teraz i powiadam: przebaczam ci.

— Pewnie, pewnie, mon cherciu... Ale gdyby tak ci, których waszmość mienisz krzywdzicielami, nie mogąc sami przyjść do pokrzywdzonych, posłali kogoś, ktoby w ich imieniu traktował o zgodę?

Książę popatrzył ciekawie na Ciechanowieckiego.

— Cóżbyś waćpan rzekł na to? — zapytał kanclerz.

— To zależy z jakimi intencjami przychodziłby krzywdziciel do pokrzywdzonego.

— Z najszczerszymi, jakie być mogą.

— Dając wyraz dobrej mojej woli, mógłbym traktować z nim — odrzekł starosta, dorozumiewając się, o kim kanclerz myśli.

— Powiadasz, że mógłbyś traktować, waćpan?... A cobyś rzekł, gdybym ci zaproponował spotkanie z grafem Strutyńskim i jego córką a swoją żoną?

Pan Jan zbladł ogromnie i wzrok mu się zapalił na wspomnienie tych znienawidzonych postaci, niby u żbika, a nozdrza latać poczęły, jak koniowi bojowemu.

— Cóżbyś rzekł, mon cherciu?

Starosta nie odpowiedział od razu, bo na myśl, że znowu miałby się spotkać ze Strutyńskim i z ową niewierną a najmilszą w świecie niewiastą, gniew i słodkość jakaś bezmierna mieszały się w nim, że nie mógł rozróżnić, które z tych dwojga uczuć jest w nim silniejsze. W końcu owa słodkość przemogła i oto Jadwiga stanęła mu znowu przed oczyma jak żywa, jak zjawa jakaś świetlana, nieprawdopodobnie piękna, uśmiechnięta i rozradowana.

— Czy... wasza książęca mość... mógłbyś to sprawić? — zapytał w końcu starosta głosem urywanym, wpatrując się mocno w nieruchomą twarz księcia kanclerza.

— Owszem, ale... pod pewnymi kondycjami.

— Pod jakimi?

— Iż waćpan poręczysz bezpieczeństwo osoby grafa Strutyńskiego i jego córki, madame Hedwige.

— Poręczam.

— Parol?

— Parol.

— A jeśli pertraktacje nie doprowadzą do zgody, nie będziesz, mon cherciu, nastawał na ich zdrowie?

— Ale tylko w dniu pertraktacji... później zostawiam sobie tę samą wolną rękę, jaką mam dzisiaj.

— Zgoda. Obiecując tedy, mon cherciu, dostawić Strutyńskiego na zjazd, lecz pamiętaj, żeś dał parol.

— Nie musisz, wasza książęca mość, przypominać mi tego — obruszył się Ciechanowiecki. — Sam dobrze wiem, com słowu memu winien.

— Pewnie, pewnie, mon cherciu...

Kanclerz znowu napełnił szklenice i przypił do starosty, ale on nie miał na nic ochoty teraz. Myśl o mającym nastąpić spotkaniu z Jadwigą wypełniła teraz wszelkie zakamarki jego serca i jego duszy, usuwając wszelkie inne pragnienia na plan dalszy, odleglejszy.

Posiedział jeszcze z pół godziny u księcia, poczem wrócił do siebie. Nie był wszakże wcale pijany, ale czuł, że głowa kręci mu się coś, jakby pod nadmiarem oparów winnych.

Legł na pościel, ale i sen go odbieżał. Leżał więc tylko z przymkniętymi oczami i marzył o tym czarującym zjawisku, które znowu ma zobaczyć. Może to już będzie kres jego męki i jego cierpień?... Może przecież załagodzi się w końcu burza, może przecież przez to morze krwi, nienawiści, pomsty, wróci do niego niewierna — zakładniczka jedyna, któraby zdołała powstrzymać dalsze waśnie i dalsze krwawe walki domowe...

Może...

XIX.

KŁOPOTY STAREGO WYGI

Kiedy grafowi Strutyńskiemu doniesiono o zabójstwie pod bramą jego umocnionego dworku w Brasławiu, młodego Wołodkiewicza i Ksawerego Ciechanowieckiego, stary wyga zbladł śmiertelnie. Nie był on tchórzem i w razie potrzeby każdemu placu dotrzymał, ale tym razem zrozumiał, iż Ciechanowieccy utopią, albo przynajmniej będą starali się utopić zwolenników frakcji familijnej w morzu krwi.

Właśnie naradzał się z paru szlachty nad sposobami obrony i nad całą sprawą, gdy wrzask piekielny uderzył o okna dworku, wstrząsając jego posadami. Nie było czasu na radę, gdy krwawa pomsta wrogów w oczy zaglądała. Kto żyw, porwał za broń, biegnąc na dziedziniec, gdzie już wrzała bitwa, gdzie wszystko kłębiło się i przewalało z końca w koniec, jak olbrzymia larwa, szamocąca się we własnych śmiertelnych uściskach.

Jeden tylko Strutyński pozostał na miejscu, nie myśląc ani o komilitonach, tam na dziedzińcu w pień wycinanych, ani o Familii i jej sprawie — mniejsza — przegranej lub nie, ale tylko o własnym swoim ratunku. Nie żal mu było życia, nie żal sprawy przegranej, triumfu Ciechanowieckich, który tym razem był nieunikniony, tak straszna była furia atakujących, ale nie mógł nawet przypuścić do głowy, aby znienawidzony starosta opeski wziął pomstę na nim samym.

W obliczu tak bezpośredniego, zagrażającego jemu samemu niebezpieczeństwa, myśl zaczęła pracować szybko, gorączkowo, niemal błyskawicznie.

— Szafraniec! — krzyknął na pachołka.

— Słucham waszą miłość.

— Ściągaj szatki.

Dworzanin posłusznie zaczął pośpiesznie rozbierać się. A z dziedzińca wrzawa dochodziła coraz bliżej, coraz głośniejsza, straszna. Graf zrzucił z siebie frak, pludry, pończochy i ciżmy i przywdział na się strój ruski swojego pachołka.

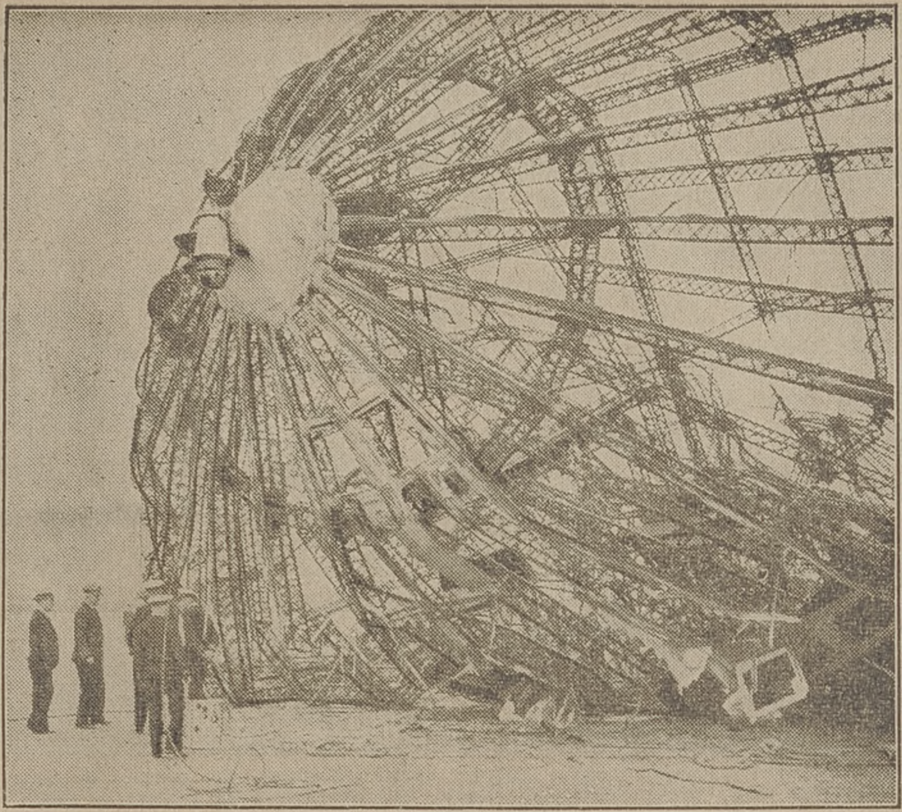
— Wdziej na się co masz pod ręką i przybywaj tutaj bez zwłoki — rozkazał, a gdy chłopiec wybiegł z izby, Strutyński opatrzył dwie krucice, przypasał szablę, kieskę z pieniędzmi za pas wsadził i gotów do ucieczki — czekał na Szafrańca. Jakoż przybiegł on, ubrany w jakieś nieco przydługie i za obszerne szaty.

— Weź to! — wskazał własne ubranie. — Po drodze rzucisz je gdzie w krzaki cmentarne, a teraz w drogę. Krucicę masz?

— Mam, wasza miłość.

— To dobrze.

Wybiegli z izby do sieni; potem przebiegli jedną i drugą komnatę, wywalili okno, wychodzące na cmentarz i wyskoczyli na zewnątrz. Kręcili się i tu ludzie starosty opeskiego, ale rzadko, to też między tymi strażami swobodnie można było przemknąć. Główne siły zgromadzone były z tamtej strony do-



Szczątki olbrzymiego sterowca „Hindenburg", który niedawno uległ katastrofie.

mu i tam też toczył się bój krwawy i bezpardonowy na śmierć i życie.

Czając się w mroku nocy, graf począł posuwać się chyłkiem ku ciemniejącemu opodal cmentarzowi, a za nim posuwał się bezszelestnie pacholik, trzymając w ręku krucicę gotową do strzału.

Dwa pomykające chyłkiem cienie zwróciły uwagę strażującego w tym miejscu żołnierza. Dla lepszego widoku przykucnął on i spojrzał w stronę biegnących na tle dość jasnego, migocącego gwiazdami nieba.

„Ktoś wymyka się z pobojowiska" — pomyślał żołnierz i wyprostowawszy się, zawołał:

— Stój!

Dwa cienie padły plackiem na ziemię i tym szybciej poczęły pełzać ku niedalekiemu już cmentarzowi. Żołnierz z muszkietem w ręku pobiegł ku miejscu, gdzie ostatni raz widział przemykających się zbiegów.

— Stój! — powtórzył wezwanie.

Lecz zamiast jakiejkolwiek odpowiedzi na wezwanie, nagle padły dwa strzały prawie równocześnie i żołnierz padł martwy na miejscu.

Teraz cienie ludzkie oderwały się od ziemi i co tchu w piersiach i w nogach pomknęły ku cmentarzowi. W moment później przesadziły mur cmentarny i znikły w krzakach i zaroślach.

Wpadłszy w gąszcz, graf zaszył się w sam ich środek i usiadł na mogile, dysząc szybko i opanowując wzruszenie. Pacholik stał obok, milcząc. Od dworku dochodziła wrzawa piekielna, bijąca w niebo krzykiem wściekłości, bólu i rozpaczy.

Po kilku minutach, spojrzawszy raz ostatni w stronę, gdzie ginęli jego ludzie, Strutyński powstał i ruszył przed siebie.

Około południa dostał się do majętności swego przyjaciela Cierpichowskiego, zaopatrzył się w brykę i konie i nie zajeżdżając nigdzie, w przebraniu chłopskim, pomknął do Wołczyna. Po drodze dowiedział się o nieobecności księcia kanclerza, więc zawrócił i pognał ku Warszawie, słusznie rozumując, iż nigdzie nie znajdzie lepszego schronienia, jak w takim wielkim mieście.

Sprzedawszy konie i brykę żydowinowi na Pradze, przeprawił się przez Wisłę i zaszedł do kwatery pana Stanisława Rudominy Dusiatyckiego. Nie szczególny musiał mieć wygląd jegomość pan graf Strutyński, skoro pan Stanisław w pierwszej chwili nie mógł go poznać.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Tyżeś to, panie starosto? — zawołał na jego widok.

— Jam jest we własnej osobie.

— Cóż znaczy owa maszkara?

— Pozwól mi odsapnąć, panie Stanisławie, bo od samego Brasława gonię z wywieszonym językiem.

— Proszę, proszę, racz spocząć mości grafie, a ją tymczasem zarządzę podanie posiłku.

Podjadłszy, graf opowiedział Rudominie ostatnie wypadki, jakie się rozegrały po zerwaniu sejmiku i odjeździe dworzanina królewskiego z Brasławia, a skończywszy, dodał:

— Cóż ty myślisz o tym wszystkim, mości Rudomino?

— Hm... trudno sądzić rzecz od razu. Ale to ci powiem, mości grafie, że stało się źle — odrzekł Rudomina. — Śmierć Ksawerego Ciechanowieckiego nie usprawiedliwia owej rzezi, której dokonał starosta opeski, ale frakcja księcia Panie Kochanku nie omieszka jej wykorzystać dla siebie. Waszmość, panie grafie, musisz się przytaić, póki co ludziom na oczy nie pokazywać, a ja i przyjaciele nasi będziemy zabiegać przeciw wyrokom trybunałów.

— Bóg ci zapłać za dobre słowo i pomoc.

— Co tam! Każdemu z nas może coś takiego się przygodzić. Czy książę kanclerz wie o zajściu?



W oryginalny sposób zaczęła Ameryka uprawiać handel zagraniczny. Oto przewozi się towary w odosobnionej części kraju, starymi dyliżansami. Zdjęcie nasze przedstawia taki transport w górach Santa — Inez — w pobliżu Santa Barbare (Kalifornia).

— Dotąd pewnie tak, boć to tam panowie białoruscy musieli podnieść nad ciałem zabitego lament jak Litwa długa i szeroka.

— Niech sobie lamentują tymczasem, a my zajmiemy się obroną waszmości.

Tego dnia aż do wieczora graf Strutyński przesiedział w kwaterze pana Rudominy, a wieczorem, o zmroku, poszedł do córki, aby prosić ją o wstawiennictwo u pana stolnika litewskiego, który wielce już poczynał w stolicy ważyć, mając poparcie ambasadora carycy za sobą.

Zaszedłszy do kamieniczki pani Ciechanowieckiej, graf nie zastał córki w domu i dość długo musiał czekać. Kiedy w końcu przyszła i wysłuchała relacji rodzica, gniew ją taki porwał na Ciechanowieckich, a głównie na Jana, że gdyby mogła była dostać go w swoje ręce, gotowa była sztylet utopić w jego sercu.

— A! — syknęła. — Zapłaci mi za to ten warchoł i rebeliant. Pozna on, co może Strutyńska. Nie ujdzie mu to bezkarnie tym razem.

Następnie, pocieszywszy rodzica i kując żelazo, póki gorące, wsiadła do karocy i powtórnie pojechała do pana stolnika litewskiego.

Zdziwiony ponowną wizytą kochanki, pan Poniatowski przyjął ją jednak uprzejmie, pytając:

— Czemu mam przypisać szczęście, że cię znowu widzę, cara mia?

— Ach, najmilszy, twoja „cara" przybywa znowu, ale tym razem z rozpaczą w duszy.

— Na Boga! Czy spotkało cię jakie nieszczęście? Mów! Mów zaraz!

Przyciągnął ją do siebie, objął ramieniem syrenią postać i ucałował posmutniałe, przepastne oczy.

— Ratuj nas, ratuj mego rodzica przed zemstą okrutnych Ciechanowieckich, którzy ojca mojego w jego dworku w Brasławiu napadli, ludzi w pień wycięli, a teraz zapewne oskarżać go jeszcze zechcą o zabójstwo Ksawerego Ciechanowieckiego, który padł w bitwie ustrzelon.

Pan stolnik litewski w pierwszej chwili nie bardzo przejął się sprawą, gdyż w owym czasie rozpasania i nierządu zajazdy i formalne bitwy sąsiedzkie nie należały do rzadkości. Ale tym razem chodziło wszakże o rodzinę najmilszej w świecie kochanki.

— Gdzie pan graf Strutyński? — zapytał.

— W domu moim się chroni, jak zbieg, jak wywołaniec, nie mając nawet gdzie głowy spokojnie a bezpiecznie złożyć.

— Uspokój się, cara mia, rodzicowi twemu włos z głowy nie śmie spaść, chyba nie byłbym sobą.

— Dzięki ci, najmilszy, dzięki...

— No, no, bądź spokojna, kochanie, już ja się tym zajmę i nie pozwolę, aby grasanci bez czci i wiary mordowali spokojnych obywateli. Uspokój się — powtórzył znowu, widząc, że pani Jadwiga w dalszym ciągu jest wzburzona.

— Wierzę ci, najdroższy, wierzę i pragnę się uspokoić, ale niegodziwość, niecnota i wręcz podłość panów białoruskich, ich nienawiść do mojego domu, ich mściwość tak mnie wzburzyły, iż napróżno staram się o spokój. Lecz błagam, zaklinam cię, najdroższy, na wszystko, co masz drogiego, na miłość moją, której nie znajdziesz równej, na moje uwielbienie dla ciebie — pomścij się, pomścij się za mnie na panach białoruskich.

— Przyrzekam ci, że to uczynię. Pomszczę się za ciebie, bo cię miłuję, jak źrenicę oka, pomszczę się za siebie, za moich plenipotentów pobitych.

Madame Hedwige z błyskiem radości w cudnych oczach objęła szyję kochanka pięknymi ramiony i twarz miłośnie przytuliła do jego twarzy.

— Mojaś ty... moja... cudna... — szeptał jej do uszka pan stolnik, a piękne jego, wypieszczone i małe jak u kobiety ręce, tuliły do swej piersi klasycznie piękną główkę kochanki.

— Za tę obietnicę, którą mi dałeś, kocham cię stokroć więcej jeszcze — odszepnęła.

Po długich pieszczotach, pełnych subtelnej elegancji i wdzięku, wyrwała się piękna pani z objęć kochanka, aby zanieść dobrą wieść stroskanemu grafowi.

A pan stolnik litewski, zakochany w nadobnej syrenie uciańskiej, wprawdzie nie taką miłością śmiertelną, jak nieszczęsny mąż, ale subtelną, spokojną, pełną wyrafinowanej kultury, piękna i elegancji, których był arbitrem nie mającym sobie równego w Rzeczypospolitej, przyrzekłszy pomoc i zemstę — postanowił przyrzeczenia dotrzymać.

Były wprawdzie jeszcze w Polsce trybunały, niby to niezależne, niby to sprawiedliwe, byli sędziowie obieralni, ale już nierząd rozsadzał Rzeczpospolitą, podważał fundamenty, a rozmaici agenci swoich i obcych agentur wywierali na wymiar sprawiedliwości wpływ przemożny. Postarał się tedy pan stolnik litewski w sądach, że skargę Ciechanowieckich odesłano na drogę osobistego dochodzenia krzywd i tym samym zabezpieczył grafowi spokojny pobyt w Warszawie, gdyż wyrok trybunału wileńskiego nie był jeszcze znany.

Odżył graf Strutyński po tej relacji trybunału warszawskiego i już nawet przestał się kryć. Oddalenie skargi Ciechanowieckich było równoznaczne dla grafa z nowem życiem, z odrodzeniem, zmartwychwstaniem niejako. Jaśniej spojrzał w przyszłość i pełen był najlepszych nadziei na przyszłość, gdyż w miarę swej piękności równie i przebiegła madame Hedwige domagała się wciąż od kochanka zniszczenia panów białoruskich. Piękny kochanek, napierany przez Ciechanowiecką i monitowany nieustannie przez księcia kanclerza Czartoryskiego, czynił, co w danych warunkach mógł, lecz wszystko to nie zadawalało pięknej, ale drapieżnej pani. Zguba całkowita Ciechanowieckich, pomsta nad panami białoruskimi, gdyby się dokonała — to dopiero mogło całkowicie ją zadowolić.

Dążąc wszelkimi drogami do zguby Ciechanowieckich, postarała się również madame Hedwige trafić i do ambasadora carycy, urzędującego w Warszawie i rozpierającego się już w stolicy Polski, niby we własnym domu. Temu wystawiła Ciechanowieckich już nietylko jako wrogów swoich osobistych, wrogów Rzeczypospolitej, wrogów ładu i porządku, wrogów przyjaznej Moskwie frakcji Familii, ale wrogów państwa moskiewskiego, szczególnie zawziętych na zgubę wszechpotężnej carycy.

Ambasador przyrzekł pomoc, obiecał sprawę rozpatrzeć, pomstę na panów białoruskich ściągnąć i do zniszczenia ich doprowadzić.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

A logika była wyznaniem Bernarda Żbika.

Może w kominku, mógł uciec przez kominek. (Uważać na dach — intuicja?) Za biurkiem ani pod niem nie było nikogo. Dywan, kilimy i gobeliny przylegały do ścian szczelnie i bez „guzów"! Za niemi nie mógł się ukryć nikt. W grę mogła oprócz kominka wchodzić też lustrzana szafa na ubrania. No, tak, elegant w rodzaju Erazma Stokowskiego musiał mieć nawet w swym gabinecie pracy bankowej szafę na ubrania. Ale to jest myśl uboczna... Trzeba się odważyć. Czemu... O, jest.

Ciche pukanie do drzwi.

— Proszę! (Jak to dziwnie brzmi, nad trupem).

Aspirant cofnął się z przestrachem ujrzawszy skierowany w swą pierś długi rewolwer Żbika. Inspektor dał mu znak palcem lewej ręki i rzekł już normalnym głosem. (Dwóch na jednego, jeżeli...)

— Wejdź i zamknij drzwi na klucz.

— Co się stało, Bernardzie. Dlaczego mierzyłeś we mnie z mausera.

— Możesz mówić głośno. Wyjm także twój rewolwer. Sądzę, że jednak obejdzie się bez powieściowego melodramatu. Morderca musi przebywać w tym pokoju bo nie mógł zdążyć uciec w tak błyskawicznym tempie między krzykiem w telefonie a mojem nadbiegnięciem. Przedtem było ciemno. Teraz więc dopiero widzę, jak tu wszystko jest równo, dokładnie ustawione. Kałamarz, ołówki, kosz na odpadki, każde na swojem miejscu. Żaden przedmiot nie ruszony, nawet dywan nie pogięty...

Zatrzymał się naraz, gdyż wpadło na myśl to samo co aspirantowi, co wynikało ze słów ostatniego.

— On to mógł uczynić, zatrzeć ślady walki w czasie, gdy telefonowałeś na dole i wzywałeś nas z centrali. Potem mógł otworzyć drzwi właściwym kluczem, którego nie było w zamku, gdy tyś nadbiegł z Downarem i wyjść stąd, i...

Zdenerwowanie Żbika z powodu popełnionego błędu, zresztą nieodzownego wobec konieczności pilnowania drzwi w hallu — minęło natychmiast.

— Mógł wyjść stąd — uspokoił się inspektor a nie z banku. A ja nie mogłem być w dwuch miejscach jednocześnie i dolny posterunek był ważniejszy. Jeżeli więc nawet stało się tak jak przewiduje twoja hipoteza — to zbrodniarz przebywa dotychczas w gmachu — a to jest najważniejsze. Jedyne drzwi wyjściowe, zaryglowane od wewnątrz miałem przez cały czas na oku.

Sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że jest w pokoju zbrodni, gdzie dym tytoniu może zniwelować ślady zapachowe.

— Możemy się zresztą upewnić — powziął nagłe postanowienie, gdyż nie mógł darować sobie błędu, nawet koniecznego i chciał go natychmiast wyświetlić. — Chodź.

Zostawił światła zapalone, zbliżył się do drzwi na korytarzu i wyszedł wraz z aspirantem.

— Zostaniesz tu na straży. Zostaw drzwi otwarte i uważaj na gabinet zbrodni i na korytarz. Ja przeprowadzę rewizję całego gmachu.

— To niebezpieczne, o ile...

— Nie sądzę. Bank jest obstawiony naszymi ludźmi. Wezwę sobie do pomocy trzech uzbrojonych mundurowców.

Jak powiedział tak zrobił. Po telefonicznym porozumieniu się z komisarjatem przeszukał w towarzystwie trzech policjantów każdy kąt banku nawet pokoje, w których zamknął Downara i Lipińskiego. Oczywiście przedtem włączyli główny kontakt elektryczny i oświetlili budynek. Rewizja trwała blisko godzinę, ale po jej ukończeniu Bernard Żbik miał sumienie spokojnę. W stupokojowym gmachu nie znalazł nikogo. Wszystkie okna były okratowane. Wobec tego pozostał jedyny wniosek logiczny, że morderca był w pokoju — w którym go jednak nie było.

Gdy inspektor wrócił do aspiranta — miał strach w oczach. Strach przed absurdem. Prawie na jego oczach zamordowano człowieka w domu, w którym logicznie nikt nie mógł być podejrzany o morderstwo!

A przecież ktoś musiał — musiał! — zasztyletować Erazma Stokowskiego i to prawdopodobnie z ważnych powodów. Jeżeli przyjąć jakąkolwiek inną hipotezę — można zwarjować. Same anomalja: strach, nowela Lerault'a, znak Ozyrysa i teraz — mord bez sprawcy. Nie!

Adama zastał przy wpółotwartych drzwiach do pokoju zbrodni. Aspirant nie zadawał zbytecznych pytań. Ze wzroku przyjaciela wyczytał o bezskutecznym wyniku poszukiwań.

— Można oszaleć, Adasiu. Niepodobna, aby...

Przerwał w początku zdania. Przez gęstwę ciszy, poprzez duszną atmosferę zagadki dobiegł uszu obu oficerów policji głośny gwizd. Bernard Żbik poznał pierwsze takty Marsylianki i ujrzał wyłaniającą się z za gobelinu twarz, którą poznał odrazu. To ten sam młodzik, jakiego na balu w Resursie, w rozmowie z aspirantem określił jako: bystrego i rozgarniętego. Ten sam młody człowiek, który po umyślnem potrąceniu Stokowskiego zwrócił detektywowi uwagę: „Aha! I pański towarzysz pali papierosa. Ciekawe!" Dopiero teraz też inspektor zauważył, że jeden z gobelinów zawieszony był na wąskich drzwiach, wiodących z gabinetu śmierci do sąsiadującego z nim pokoju — z którego wyszedł człowiek.

Człowiek! Żywy, nawet pogwizdujący sobie beztrosko. Błogosławiona logika, która strzeże ludzi rozumnych od szaleństwa iluzji i od urojeń bezmyślności. W mózgu Bernarda Żbika myśli uszeregowały się błyskawicznie w żelazny łańcuch konsekwencji:

A: W Banku Południowym musiał przebywać człowiek, który zabił i nie mógł zdążyć uciec z pokoju.

B: W gmachu przebywał człowiek.

C: Ten człowiek zabił.

Twarz detektywa znieruchomiała, gdy wpatrzył się ostro w oczy młodzieńca, i rzekł poważnie:

— Proszę przynajmniej przestać gwizdać.

Ujrzał jasny uśmiech na młodym, pogodnym obliczu i usłyszał swobodną odpowiedź:

— Czy gwizdanie Marsylianki jest policyjnie wzbronione, panie inspektorze?

VII.

Logika i fakty

Znów wariat? — to była pierwsza myśl Bernarda Żbika. Ale czemu: znów — Stokowski nie był obłąkany, skoro jego absurdalne obawy okazały się słuszne (o, tragiczny werbalizmie) — został zamordowany. Lecz czemu ten młodzieniec uśmiecha się tak beztrosko. Przecież...

— Dlaczego pan zabił Erazma Stokowskiego?
— Ja!!?... Znam większą przyjemność niż zabijanie szefów.

Młody człowiek wybuchnął zdrowym i tak naturalnym śmiechem, że gdyby nie nakaz logiki — inspektor przysiągłby, że ma przed sobą człowieka niewinnego i nieświadomego zgrozy sytuacji lub... że sam uległ złudzeniu. Niestety, tak nie było. Przed nim stał śmiejący się młodzieniec i... nagle przestał się śmiać. Oczy znieruchomiały i zatrzymały się na podłużnym korpusie leżącego bankiera, na główni sztyletu, na aspirancie na wyraźnym spojrzeniu naczelnego detektywa. Potem twarz rozpogodziła się znów.

— Przepraszam. Teraz pojmuję zakaz gwizdania. Rozumiem tu sens pytania o przyczynę zabójstwa. Lecz przykro mi, jak to się mówi — bo ja nie zabiłem Erazma Stokowskiego. Będzie pan jednak musiał szukać prawdziwego mordercy, niestety.

W ostatnim słowie przebijała nawet nuta sarkazmu i sardonizmu. I to wszystko wypowiedziane, swobodnie, naturalnie, bez zająknięcia z otwartą twarzą lub... z mistrzowską maską braku wzruszenia. Genialny gracz — z tym będzie ciężka przeprawa.

— Więc pan chce powiedzieć, że zabójstwa dokonał ktoś inny.

— Wcale nie chcę, ja to twierdzę wręcz i kategorycznie. Tak musi wynikać z faktu, że ja tego jednak nie uczyniłem. Dopiero teraz spostrzegłem trupa i przykro mi, że gwizdałem — choć to są, między nami mówiąc zwykłe koszałki opałki. On — drobna ręka wskazała bez wahania na ciało zamordowanego — on już i tak nic nie słyszy. Biedny chłop — mógł jeszcze żyć. Był bogaty i przystojny i zdolny. Zdolny człowiek, panie inspektorze.

— Czy pan oszalał?

— Nie.

— Więc poco symulować cynizm, panie... chcę znać pana nazwisko.

— O, to zawsze i chętnie. Jerzy Makarski. A pan jest inspektorem Bern. Żbikiem, przypominam sobie z balu w resursie. Ktoby się tego spodziewał, że się tak prędko spotkamy — choć prawdę rzekłszy stary, to jest dyrektor Stokowski już wtedy miał pietra.

Ten człowiek, Jerzy Makarski, nie wiedział nawet, że musi być aresztowany pod zarzutem najcięższej ze zbrodni. Krótki rzut oka i opukanie ścian sąsiedniego małego pokoiku, z którego Makarski tak niespodziewanie wyszedł, wykazał, że stamtąd nie było już żadnego wyjścia, nawet zasłoniętego. Inspektor wrócił do gabinetu uspokojony podświadomie. Lecz ten elegancki młodzieniec zachowywał się wciąż tak jakby posądzenie go było absurdem. Widać, nie zdążywszy uciec, obrał taktykę udawania niewiniątka i cynika. Mądry sztych — ale nie z nami panie Makarski.

— Tylko pan mógł zabić. Podziwiam pana zimną krew.

— Tak zwaną zimną krew, o ile wolno mi poprawić. A może to jest raczej — i ja twierdzę, że tak jest — prawdziwa niewinność. Każdy medal ma odwrotną stronę, a gdyby nawet miał dwie, to nie nosi się medali na sztorc. Znalazł pan już jaki ślad konkretny. Przyznam się, że jestem amatorem — detektywem i chętnie pomogę w szukaniu tembardziej że...

Urwał i opuścił wzrok zupełnie niespodziewanie. Na twarzy zaszła nagła zmiana. Jerzy Makarski wyraźnie posmutniał, ale wnet otrząsnął się z konsternacji.

— Dlaczego pan nie dokończył.

— To nie miało znaczenia. Prywatna myśl, że tak powiem.

— Jest pan oskarżony o zbrodnię zabójstwa. To nie są kpiny, ani przelewki — lecz śmiertelnie poważna sprawa.

— Ja oskarżony? Najwyżej podejrzany lub obciążony poszlakami. Między innemi skończyłem prawo, inspektorze.

— Panie inspektorze — jeżeli wolno prosić.

— Prosić zawsze wolno. Może być nawet — wielce szanowny panie inspektorze. Mnie wszystko jedno. Lubię oszczędność w słowach, szczególnie w słowach zbytecznych i dlatego opuściłem słowo pan. Nie chciałem pana obrazić, inspektorze. A propos oszczędności: o co pan mnie posądza, krótko.

Inspektor Bernard Żbik miał w swej praktyce do czynienia z wieloma typami kryminalistów. Przesłuchiwał już osobnika, który po zaduszeniu nieślubnego dziecka udał się do kina, przesiedział seans komedii amerykańskiej, śmiał się jak wszyscy i potem wrócił spokojnie do domu, aby zatelefonować do komisariatu i oskarżyć się samemu, choć zbrodnię wykonał niemal bez śladów. Żbik rozmawiał już z kobietą, która zastrzeliła męża i kochanka i wyszła do magazynu po suknię na bal maskowy, na jaki się też wybrała i gdzie ją aresztowano. I z wieloma innymi — ale tak cynicznego i opanowanego mordercy jak ten tu oto nie widział jeszcze. Człowiek gada banialuki, uśmiecha się — po zabójstwie i wobec policji. To było coś niepojętego — lecz nie dziwnego. Inspektor przekonał się już nieraz, że homo sapiens dzięki zdolności mówienia jaką obdarzył go nieopatrznie Stwórca, należy do najbardziej dziwacznych pod słońcem.

— Słucham, panie inspektorze.

— Wyjaśnię, bo jestem do tego zobowiązany — utemperował go Żbik. Po krzyku w telefonie zbiegłem tu i zastałem drzwi zamknięte na klucz. Po otworzeniu znalazłem już trupa dyrektora Stokowskiego. Rewizja w gmachu nie dała wyniku. Więc kto zabił jeżeli nie pan. Radzę przyznać się.

— Zaraz. O jakim krzyku w telefonie mowa.

— Co to za ton! — zdenerwował się detektyw.

— Normalny.

— Zatem dobrze. Siedziałem z Edwardem Downarem...

— To mój kolega. Ja jestem drugim sekretarzem.

— Siedziałem z Downarem — wyjaśnił Żbik cierpliwie, obserwując jednocześnie ostro — gdy zadzwonił aparat i Downar usłyszał krzyk mordowanego. Zbiegliśmy tu i dyrektor Stokowski już nie żył. Drzwi były zamknięte na klucz — klucza nie było. Pana zastałem w sąsiednim pokoju, z którego niema innego wyjścia, jak przez gabinet zbrodni.

Makarski zmieszał się, usłyszawszy logiczne i niezahaczalne rozumowanie detektywa, sławnego z bystrości i zdolności kryminologicznych — nie stracił jednak rezonu.

— Dziwne, bo ja nie słyszałem żadnego krzyku, a mam bardzo lekki sen.

Sen?

— Pracowałem w sąsiednim gabinecie i zdrzemnąłem się nad robotą. Zdarza się często. Ale żebym nie słyszał krzyku i to człowieka, którego mordują. Zastanawiające.

Bernard Żbik przypomniał sobie coś i szepnął aspirantowi kilka słów do ucha. Ten wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie Edwarda Downara. Ten oczywiście z tlącym się papierosem w ustach. Jego sprawa.

— Panie Downar, proszę nam jeszcze raz opowiedzieć dlaczego pan po telefonie pobiegł do gabinetu dyrektora.

— Przecież pan był przy tym.

Żbik skinął głową: — Ale pan Makarski ma pewne wątpliwości, które nazwę grą na zwłokę. Zbyteczną grą.

Pierwszy sekretarz starał się nie patrzeć na trupa i nerwowo gryzł ustnik papierosa, gdy Żbik zakazał mu palić w tym pokoju. Spojrzał na Makarskiego i ujrzał jego uśmiech.

— Aparat zadzwonił, gdy ująłem słuchawkę krzyk dyrektora Stokowskiego. Potem...

Pióro aspiranta skrzypiało szybko po liniach notesu, lecz naraz nastąpiła niespodziewana zmiana ról. Jerzy Makarski wystąpił naprzód i stanął tuż przed Downarem, gdy zapytał:

— Po czym pan poznał, że krzyczał dyrektor, kolego. Ja byłem w sąsiednim pokoju za cienkiemi drzwiami i nic nie słyszałem. Możeście się omylili, namyślcie się, bo ten pan — wskazał na detektywa tym samym nonszalanckim ruchem jak przedtem na trupa — chce mnie zaaresztować pod zarzutem zbrodni morderstwa.

Inspektor uznał interwencję za konieczną.

— Ja tu jestem, żeby zadawać pytania.

— Wiem, wiem. Ale ja mam być tym aresztowanym, jak zaczynam się domyślać. Co krzyczał Stokowski, panie kolego.

— To ty, Downar, na pomoc.

Opowiadający wypowiedział te słowa bez intonacji, martwo i protokularnie — lecz wywarły one wstrząsające wrażenie na obecnych, kiedy po myśleli, że leżący tu człowiek wołał o pomoc podczas gdy zimny zbój wbił mu nóż w plecy. Pierwszy opanował się Żbik.

— Dziękuję. Aspirant Billewski odprowadzi pana. Może panu czegoś potrzeba..

— Nie — odparł Downar. — Kiedy będę mógł odejść.

— Dokładnie nie mogę określić. Postaram się zatrzymać pana najkrócej.

Adam Bilewski wyszedł z pierwszym sekretarzem, który wyglądał jak każdy normalny śmiertelnik w takiej sytuacji. Był zrozumiale zdenerwowany, natomiast jego kolega był niezrozumiale spokojny:

— Musiałem mocno zasnąć. Ładna drzemka swoją drogą.

— Radzę przyznać się, panie Makarski. Jako człowiek inteligentny...

— Taak, mam się dać inteligentnie powiesić — za nic. Do czego mam się przyznać.

— Jaki był powód zabójstwa.

— O tym wie tylko morderca.

— Czyli pan.

— Dookoła wojtek. Zaczyna być monotonne. Ja nie umiałbym zabić muchy. I poco miałbym zabijać własnego chlebodawcę, płacącego mi pięćset złotych pensji, za łatwą robotę w estetycznym otoczeniu i...

— Już drugi raz pan nie kończy zdania.

Jerzy Makarski zmierzył detektywa badawspojrzeniem.

— Pan naprawdę chce mnie zaaresztować?

— Nie zwykłym żartować w taki sposób — odparł chłodno Żbik.

— No, tak, racja. Przykra historia — zadumał się i natychmiast odzyskał niezrozumiałą w tym miejscu, iście młodzieńczą energię. — Każdy adwokat obali pańską tezę. Fakt, że mogłem zabić nie dowodzi, że zabiłem. Każdy może zabić. Nie mogę odpowiadać za to, że mordercy dyrektora Stokowskiego zachciało się zakłuć go właśnie w takich okolicznościach. Czy mówię logicznie...

— Mój panie — przerwał inspektor. — Poco te piękne słówka. Jako prawnik będzie pan miał czas obmyśleć obronę w więzieniu. Dla mnie w tej chwili nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedynie pan mógł zabić dyrektora Stokowskiego. Nikt inny nie mógł tego uczynić w tym czasie. Jestem zmuszony pana aresztować.

— Dokładniej mówiąc — zatrzymać aż do pierwszego przesłuchania. I poco? Aby mnie wypuścić po czterdziestu ośmiu godzinach i narazić się na nieuniknioną kompromitację. Sławny Bernard Żbik. A tymczasem prawdziwy zbrodniarz zwieje, gdzie pieprz rośnie.

— Postaram się udowodnić moje oskarżenie i przyznaję, że tym razem nie będzie to trudne.

— Wątpię.

Inspektor nie odezwał się odrazu. Jego spokojne, bystre oczy przesunęły się po przedmiotach otoczenia i znów spoczęły na postaci nieboszczyka. Z zaaresztowaniem można, a nawet trzeba zaczekać aż do przybycia daktyloskopa i lekarza. Na trzonie sztyletu powinny być odciski palców, trzeba wyjaśnić sprawę miniaturki Ozyrysa no i — dla samej formalności — przesłuchać Makarskiego i sprawdzić to, co on odpowie. Będzie na pewno kłamał. Nie zdążył uciec i obrał taktykę cynika. Miał czas na — właśnie — na zatarcie śladów czynu, jak odciski palców na sztylecie i na podłodze. Ta jest zdaje się zupełnie czysta, jakby ją ktoś umyślnie wyfroterował. Na ustawienie przedmiotów na biurku i usunięcie śladów gwałtownej walki. Jeżeli był przytomny i zimnokrwisty, jakim okazał się dotychczas, to napewno też spalił notatki i ewentualne kompromitujące papiery. To byłoby pierwsze.

Po drugie, trzeba ustalić przyczynę zbrodni. Ot, mechaniczna robota gadano-protokólarna. Tym lepiej. Nie trzeba szukać zbrodniarza wśród niewiadomych, niema ix'a jak w innych sprawach. A że ten młody człowiek nie przyznaje się do winy — to fakt niekaralny i zrozumiały. Prawo karne daje oskarżonemu przywilej kłamania, gdyż nowoczesna kryminologia opiera się na naukach psychologicznych. Poczekamy, pan Makarski posiedzi dwadzieścia cztery godziny w separatce, poduma trochę, po tem zdenerwuje się lekko, e, co mi tam. Nastąpi sześciogodzinne, spokojne, delikatne przesłuchanie na trzy zmiany. Potem czas do namysłu, przerwa i ewentualnie dwanaście godzin badania w krzyżowym ogniu. Nic specjalnego, ani krzyki, ani groźby — nerwy to ludzka rzecz, bodaj jedyna ludzka rzecz. Wróćmy jednak do pierwszego etapu.

— Proszę podnieść ręce, panie Makarski. Zrewiduję pana.

— Bez pozwolenia sędziego...

— Ręce w górę, zrozumiano!

— Tylko nie bić, panie inspektorze — zażartował Makarski swobodnie i usłuchał.

Palce aspiranta z wprawą przeszukały jego kieszenie na piersiach. Ołówek, wieczne pióro, notes-kalendarz, dowód osobisty, jakiś list. Oczywiście obejrzy się i opisze dokładnie.

— Teraz tu.

Adam Bilewski sięgnął do bocznej kieszeni marynarki i aż zbladł z emocji, albowiem pierwszym przedmiotem, który wydobył był klucz. Duży, od drzwi.

Bez słowa wsadził go inspektor w otwór zamka i przekręcił. Chwyciło zupełnie lekko, bez trudu. Miał więc w ręku klucz od pokoju zbrodni. Zaginiony klucz. I ten człowiek śmiał przedtem twierdzić, że nie zabił. Silny charakter patalogiczny, niewątpliwie — ale mocny, zdecydowany, konsekwentny, szybko się orjentujący mózg i duża odwaga ducha. Wybitna. Ale ...Nie! Refleksje są niebezpieczne. Bernard Żbik zaniechał rozważań, co mu zawsze trudno przychodziło i podszedł do stojącego na tym samym miejscu Makarskiego. Podsunął mu klucz ten pod nos.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 30 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościoła św. Krzyża w W-wie 10.30 „Jan Sebastian Bach" (nowe nagrania płytowe) 11.00 Koncert Orkiestry Dętej dyr. Tramw. i Autobusów 12.03 Wielki poranek rozrywkowy 14.00 Orkiestra Marka Webera i Reginald Fort (płyty) 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 „Audycja dla wsi" 16.00 Muzyka ludowa w wyk. Orkiestry Wł. Krajkowskiego 16.00 Muzyka fortepianowa na 4 ręce 17.00 Powszechny Teatr Wyobraźni, słuchowisko „Jak Jasiek o Pyrtołowom dusyckę z diabłem tańcował" 17.30 Reportaż z dnia propagandy w stolicy 18.00 „Verbum nobile" — opera w I-ym akcie St. Moniuszki Transmisja z Teatru na wyspie w Łazienkach 19.20 „Na Dzień Matki" — pogadanka 19.35 Utwory skrzypcowe w wyk. W. Kochańskiego 20.00 Lekkie melodie na różnych instrumentach 21.00 Wieczór piosenek Beranger'a 22.00 Koncert wieczorny.

Poniedziałek, dnia 31 maja 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Orkiestra mandolinistów „Sempre Vivo" 16.00 „Nieco o ryżu ze śmietaną — więcej o ryżu bez niej" — pogadanka 16.15 Pieśni regionalne z Polesia 16.45 „Gościnność w dawnej Polsce" — felieton 17.00 Koncert solistów 17.50 „Polskie sieci na Atlantyku" — pogadanka 18.15 Wiązanki melodii — płyty 19.00 Audycja strzelecka 20.00 Muzyka rozrywkowa w wyk. Wileńskiej Orkiestry 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Wileńskiej Orkiestry 21.45 „Bitwa o Chorążankę" — opowiadanie 22.00 Koncert wieczorny.

Wtorek, dnia 1 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Lekki koncert Orkiestry Wojskowej 16.00 Audycja dla dzieci: „Czym jest twói tatuś? — Ogrodnikiem" 16.20 Pieśni w wyk. Chóru Podchorążych Sanitarnych 16.45 „Droga do Burkutu" — odczyt 17.00 Trio salonowe P. R. 18.15 Orkiestra Alfreda Campoli i melodie Mockey Mouse — płyty 19.00 „Dwaj złodzieje" — skecz 19.15 Współczesna pieśn różnych narodów 20.00 Koncert z Parku Helenów w Łodzi 21.05 Krakowski Kwartet Schrammla i solista 21.45 „Bitwa o Chorążankę" — opowiadanie (II cz.) 22.00 Muzyka angielska — płyty.

Środa, dnia 2 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.15 „Zgoda buduje niezgoda rujnuje" — pogadanka 12.25 Pół godziny pogodnej muzyki 16.00 „Wśród włoskich polonofilów" — szkic literacki 16.15 Serenady w wyk. Kwartetu Salonowego Rozgł. Krakowskiej 17.00 „Hektor Berlioz" — reportaż muzyczny 17.50 „Stulecie alfabetu Morse'a — pogadanka 18.15 Orkiestra Barnaby Geczy — płyty 19.00 „Płyty dla znawców": „Wolfgang Amadeusz Mozart" 120.05 Muzyka taneczna z Poznania 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Józefa Turczyńskiego 21.45 „Bitwa o Chorążankę" — opowiadanie (III cz.) 22.00 Polska muzyka na przełomie 18 i 19 w.

Czwartek, dnia 3 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół średnich z Filharmonii Warszawskiej 12.25 Popularne utwory Erica Coates'a — płyty 16.00 „Czerwiec" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Koncert orkiestry dętej Huty „Pokój" 16.45 Konstancja Łubieńska — odczyt 17.00 Koncert solistów 18.15 Lekkie piosenki — płyty 19.10 „Lajkonik" — suita poetycko-muzyczna 20.00 „Sissy" — operetka w 3-ch aktach 22.00 „Bitwa o Chorążankę" — opowiadanie (4-te) 22.15 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 4 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Fantazje operowe w wyk. Wileńskiej Orkiestry 16.15 „Pieśni o Himalii" — audycja literacko-muzyczna 16.45 „Złote gody Polskiego Towarzystwa Historycznego" — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Nasze drzewa": „Cis" — pogadanka 18.15 Motywy ludowe u obcych — płyty 19.00 Gra Emanuel Feuerman — wiolonczela — płyty 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „Bitwa o Chorążankę" — opowiadanie (dokończenie) 22.00 „Słynni dyrygenci" — „Adrian Boult" — 8. — płyty.

Sobota, dnia 5 czerwca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.25 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi) 16.00 Słuchowisko dla dzieci „O kapryśnej królewnie i sprytnym szewczyku". 16.30 Koncert solistów 17.50 „Torfowiska nad Wartą" — pogadanka 18.15 Popularne orkiestry jazzowe — płyty 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy: „Latarnik" 20.00 Koncert symfoniczny w wyk. Ork. Sym. P. R. 21.45 Nowości literackie 22.00 „Mozaika muzyczna".

HUMOR

STAROŚĆ NIE RADOŚĆ

Bogaty kupiec manufakturowy Izydor Gryncberg spaceruje w wiosenne południe po alejach ze swym przyjacielem Abrahamem Kohnem.

W pewnej chwili Kohn spostrzega, że jakiś wyrostek usiłuje wyjąć Gryncbergowi portmonetkę z kieszeni. Chwyta złodzieja za rękę i woła:

— Policja, policja!

Gryncberg łagodnie uspakaja zapalczywego przyjaciela:

— Daj spokój, Abraham, myśmy też byli młodzi...

DIALOG

Nad ranem spotykają się dwaj pijani.

— Serwus!

— Tak jest!

— Znasz pan Kulikoszczaka?

— Nnie, nie znam. A jak on się nazywa?

— Nnie wiem...

BIAŁE I CZARNE

W szpitalu na stole operacyjnym leży murzyn. Chirurg po dokonaniu operacji łapie się nagle za głowę:

— Do licha! Zaszyłem ranę białymi nićmi!

DALEKI ZACHÓD

Długo błąkał się Bill po górach Nevady, gdzie poszukiwał swego kuzyna Johna. Wreszcie wpadł na trop i dotarł do uroczej doliny, gdzie znalazł mały domek z tabliczką „Szeryf". Przed domkiem siedział brodacz i czyścił karabin.

— Pan jesteś szeryfem tej doliny? — spytał Bill.

— Tak jest.

— Bogu dzięki! Teraz odnajdę Johna.

— Nie, Johna już nie ma.

— Mówiono mi, że mieszka w odległości strzału karabinowego od pańskiego domu, szeryfie.

— Tak jest. I dlatego nie żyje.

PRZEWIDUJĄCA

— Kasiu, czy kręciłaś coś w barometrze?

— Tak, proszę pani, nastawiłam go na pogodę, bo jutro mam wychodne.

TRUDNOŚĆ

— Panie Dorobnicki, pan tak dużo terazpodróżuje — dlaczego się pan nie nauczy tego łatwego języka esperanta, którym ostatecznie może się pan porozumieć na całym świecie?

— Chciałbym bardzo, ale widzi pan: ja podróżuje wprawdzie, lecz nigdzie się nie mogę dłużej zatrzymywać. Żeby zaś się dobrze nauczyć języka jakiegoś kraju, trzeba w nim przebywać przynajmniej dobre kilka miesięcy. Ja chcę poznać całą Europę i tyle czasu na pobyt w Esperanto poświęcić nie mogę.

ICH MAJĄTEK

Pewien wierzyciel tak skrytykował niepłacącego dłużnika:

— Otwierając sklep w czasach dewaluacyjnych, Paweł Ogryzek posiadał tytułem majątku tylko dwie ręce, a jego żona, wniosła mu do firmy jedynie — opinię posażnej panny, lecz bez gotówki...



Z opowiadań doświadczonego wilka morskiego: ...„w pewnej chwili nadpłynął ogromny rekin — i wylądowaliśmy w powietrzu".

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie